Nr. 10. Poznań, Niedziela 10go Marca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

WAŻNE WYZNANIE.

II.

(*Dokończenie.*)

Nasza wolnomyślność w rzeczach religijnych nie była owocem ani rozumowań teologicznych, ani doktryny politycznej. Z pewnością wyszli założyciele „Dziennika Poznańskiego“ i grono obywateli, grupujących się około ostatniego, po części ze szkoły francuzkich „*libre penseur'ów*“ zeszłego stulecia, po części ze szkoły heglowskiej, ale ci tworzyli bardzo małą cząstkę naszego społeczeństwa. Nasz antyklerykalizm szlachecki, (najniesłuszniej uważany za liberalizm) ma swe źródło w drażliwościach sąsiedzkich. Spór pomiędzy patronem a proboszczem, pomiędzy dworem a plebanią o wpływy lokalne wyniesiony został z czasem w braku ważniejszych zagadnień politycznych na wyżyny jakiejś kwestyi spornej między kościołem a społeczeństwem świeckiem. „Dziennik“ patrzał na ten spór (za rządów ks. arcybiskupa Ledóchowskiego) ze stanowiska zasadniczego, ale ogół zwolenników dziennikowych pojmował go w duchu tradycyi staroszlacheckich.

Taki „parafialny antyklerykalizm“ naszego obywatelstwa wiejskiego musiał okazać swą gotowość do zgody, gdy na bruku poznańskim rozległ się okrzyk: Precz z szlachtą, precz z księżmi! Podanie sobie ręki nie potrzebowało nastąpić kosztem próżności i ambicyi naszych poznańskich liberałów! Ks. Ledóchowski, arystokrata na wskroś, trzymał się zdala od liberalizującej szlachty; dzisiejszy arcybiskup, szlachcic i Polak, ma serce i dom swój otwarty dla każdego ziomka bez względu na tó, do jakiego obozu się zalicza. Jakby na rozjemcę stworzony, ułatwił on przez urok swej osobistości zgodę między przeciwnikami.

W stronnictwie, które się utworzyło skutkiem owej zgody, w stronnictwie t. zw. „ładu i porządku“, reprezentant dawnych „liberałów“ „Dzien. Pozn.“ ma wpływ poważny. Odzyskanie utraconej pozycyi to cały zysk; *ale gdzie zysk dla liberalizmu, chociaż tylko umiarkowanego?* Czy przyszłość ma to dopiero pokazać?

Tymczasem zanotować warto, że „Dziennik“ w krótkiej odpowiedzi, danej „Kuryerowi“, przyznał się do tego liberalizmu! Czy to poruszenie liberalnego sumienia, czy też znak, że w fuzyi kuryerowo-dziennikowej coś się psuć zaczyna? Kto zna przeszłość „Dziennika“ przypuści jedno i drugie. Tłomacząc to, co odpowiedział „Kuryerowi“ półgębkiem „Dziennik Pozn.“, na język zrozumiały, sądzimy, że sens będzie mniejwięcej taki: „Wstąpiłem, jako cichy wspólnik do spółki „Ład i porządek“, z kapitałem znanych wam zasad liberalnych. Jednakże jestem gotów wystąpić z spółki z nietkniętym kapitałem tych zasad, gdyby się nadarzyła spółka korzystniejsza“.

Czy ten kapitał będzie nietkniętym po rozwiązaniu spółki, tej kwestyi rozbierać nie możemy z tej prostej przyczyny, że wysokości sumy nie znamy. Liberalizm Dziennikowy posiada proteuszową naturę: trudno go we właściwej postaci uchwycić. Opiera on się, jakeśmy już powiedzieli, *mutatis mutandis* na tendencyach czteroletniego sejmu. To niby było jego punktem wyjścia. Tymczasem ten punkt zatarł się już w pamięci naszych pokoleń — i starty został pod kołem rydwanu historyi. Przekazany nam jako scheda umierającej Polski, program ten spełniony został już bardzo dawno bez przyczynienia się z naszej strony. Żyjemy teraz pod panowaniem *powszechnego głosowania*, (o czem z pewnością ani Kołłątaj nie marzył), a to zmienia rzecz zupełnie. Liberałowie nasi powinni wiedzieć, że powszechne głosowanie, tj. uznanie równości *obywatelskiej* nie tylko powinno nam służyć za punkt wyjścia w agitacyi przedwyborczej, ale przedewszystkiem powinno być dla nas *stałą* podstawą operacyjną w naszych walkach, podejmowanych w obronie narodowości. O to przecież nam wszystkim najbardziej chodzi!

Nasze społeczeństwo demokratyzuje się: stronnictwo, które nie bierze tego faktu w rachubę, będzie tylko koteryą, nigdy stronnictwem politycznem.

Wszczepieni w organizm polityczny, nam obcy, odczuwamy wszelkie prądy duchowe i wstrząśnienia tego organizmu; tysiącami dróg i kanałków wsiąkają w nasze społeczeństwo nowe zupełnie idee. Bezstronny obserwator widzi, jak na dłoni, że ten odłam narodu naszego, który się dostał pod panowanie niemieckie, czerpie zasoby duchowe i moralne z dwóch źródeł, z tradycyi polskich i z kultury niemieckiej, rodzonej siostry kultury zachodnio-europejskiej. Zasypać tego ostatniego źródła, choćby złotym piaskiem haseł patryotycznych, nie można; byłaby to robota Syzyfa. Idee, którebýsmy chcieli proskrybować, jako obce tradycyem polskim, zagnieździły się już na dobre w mózgach naszych, a przedewszystkiem pod twardą czaszką ludu naszego. Objawiać się u nas zaczynają gwałtownie, z łoskotem, najczęściej brutalnie, jakeśmy mieli tego przykład na kilku zebraniach przedwyborczych w ostatnich latach, objawiają się nieraz w karykaturze, — a to z tego powodu, że obrona tych idei nie spoczywa jeszcze w ręku inteligencyi. Ale one żyją, i do nich przyszłość należy. Nie jest to bunt, ale prosty objaw ewolucyi dziejowej, przeciw której walka jest niemożliwa.

Nasz „liberalizm dziennikowy“ dostrzega w tym buncie siły odśrodkowe. Z pewnością są one względem ogniska ludzi „ładu i porządku“ odśrodkowemi; ależ to ognisko jest tymczasem tylko ogniskiem koteryi. Po za niem tworzy się zwolna ognisko inne, około którego skupiają się owe „odśrodkowe siły“, także pod hasłem obrony narodowej z programem wyraźnie demokratycznym; czy i wtedy stronnictwo takie uchodzić będzie za „warchołów“, anarchistów *et hoc genus omne?* Czy „Dziennik“, któremu patryotyzmu żaden przeciwnik nie odmówi, znosić będzie podobne sąsiedztwo? Wszakże „getrennt marschiren und vereint schlagen“ jest ostatniem słowem strategii; czyżby nie można tego zastósować do naszej polityki?

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

O głośnych wystąpieniach *O. Andrzeja* w obec Bochumskich Polaków, donosi korespon-

dent *Gazety Toruńskiej* nr. 54 następujące szczegóły:

„Dziś napiszę cokolwiek o zgromadzeniu prezesów; które się odbyło w niedzielę dn. 24go bm. w Bochum. My prezesi zostaliśmy na to zwołani, aby radzić o urządzeniu nabożeństw polskich. Zaraz na początku wyznam jednak otwarcie, że ja z tego zebrania nie jestem wcale zadowolony. Kiedy Wiel. ks. Szotowski lub Wiel. ks. dr. Liss zwołali zebranie prezesów, to chętnie tam spieszyliśmy, bo obrady toczyły się zawsze w wielkim porządku, a O. A. zaraz na pierwszem zebraniu obchodził się z nami tak jak z dziećmi. Skoro jaki mówca głos zabrał, to O. A. zawsze przerywał i nikomu nie pozwolił dokończyć, a jeżeli kto odważył się powiedzieć, co się O. A. nie podobało, to on zaraz zawołał: Cicho bądź, ty krzykaczu! Posunął się O. A. nawet tak daleko, że powiedział, iż skoro go kto nie będzie słuchał, to pójdzie do gospodarza sali, by zawołał policyanta i każe potem każdego, kto się po woli jego nie zastosuje wyprowadzić ze sali. Nas to bardzo bolało, że O. A. tak do nas przemawia. Na zebranie przybył też znany nam bardzo dobrze p. Biel. i zaczął pisać sprawozdanie, ale i to O. A. się nie podobało, bo wyraził życzenie, aby p. B. przestał pisać, lub opuścił salę. Zastanowiło nas to bardzo, bo znamy pana tego jako bardzo spokojnego człowieka i dla tego z oburzeniem powiedzieliśmy O. A. że skoro p. B. wyjdzie, to my też wyjdziemy. O. A. mówił tedy, iż on nie chce, aby p. B. opuścił salę, tylko pragnie, aby dalej nie notował, a to, co miał napisane, spalił. P. B. zgodził się tylko na to, iż przestanie dalej pisać, mówiąc, że napisze to sobie w pamięci, ale to co dotąd napisał schowa i wcale nie myśli tego do pieca rzucać. Zebranie było publiczne, więc nie pojmuję, dla czego O. A. takie niezwykłe stawiał żądania. Przecież powinno mu zależeć na tem, aby sprawozdania o zebraniu były dokładne."

W sprawie tej donosi jeszcze *Gazeta Toruńska* następujące szczegóły:

„Z innego sprawozdania dowiadujemy się, że na zebraniu, nie brakło i wesołych epizodów. Oto O. Andrzej przedstawił zgromadzeniu i oddał pod głosowanie rezolucyą wzywającą pana Jana Brejskiego, (redaktora „Gaz. Tor.") aby się wyuczył na księdza i przyszedł do Westfalii, jako duszpasterz Polaków. (Pewnieby go odprawiono z kwitkiem, jak ks. Bolta i ks. Leicherta). Na 70 mniejwięcej obecnych na sali, 26 uznało ten pomysł za bardzo dobry. (Dziękujemy im za zaufanie. Red.) Inni kiwali głowami, wiedząc że p. J. Brejski ma żonę. O. Andrzej wytłómaczył następnie na posiedzeniu Towarzystwa św. Barbary, że p. J. Br. może zostać księdzem, jeżeli jego żona pójdzie do klasztoru.

Ubolewamy mocno, że genialny pomysł O. Andrzeja urzeczywistnić się nie da, bo żona p. J. Br. ani rusz do klasztoru iść nie chce. Niechże tedy O. Andrzej popiera gorliwie „Swiętojózefacie", które tak lekceważy, a Polacy westfalscy już za kilka lat doczekają się duszpasterzy, którzy wyszedłszy z pośród nich, łatwiej z nimi dojdą do ładu, niż O. Andrzej.

—

Z Koronową piszą do *Gazety Gdańskiej* w Nr. 27.

„Pisma donoszą o okropnej zbrodni, jakiej się dopuszczono przeciw niemczyźnie. Oto słuchajcie narody. Dawniej Klahrheim nazywał się po polsku Kotomierzem, ale że dziedzic tej wsi nazywa się „Klahr", zatem na jego cześć nazwano staropolską osadę niemieckiem mianem. Jakiś pismak odkrył na żwirowce pomiędzy Koronowem a Katomierzem kamień milowy, na którym znajduje się napis: „Nach Kotomierz" (a nie „Klahrheim".) Bismarku ratuj, gdyż zanosi się na kosynierkę, bo na milowym kamieniu pozostała polska nazwa wsi przechrzconej. Gdyby ów pismak miał tę władzę, sprowadziłby batalion wojska, aby ów napis usunąć. Niezawodnie Spółka KHT. zajmie się tą sprawą, a wtedy będą mogli pismacy i szowiniści spać spokojnie.

Od nazwiska landrata przezwano Chodzież „Colmarem". W Szamotułach był landrat Knobloch, co po polsku znaczy „czosnek". Jakiś gorliwy germanizator, nie zważając na to, że Szamotuły mają już niemiecką nazwę „Samter", chciał nadać więcej praniemiecka (urdeutsch) nazwę „Knoblochstadt", ale żydzi zaprotestowali głośno, gdyż uważali to za szykanę żydowskiego rodu, a tak dzięki żydom Szamotuły zowią się „Samter" a nie „Knoblochem" lub podobnie."

—

„*Goniec wielkopolski*" rozwija niespodziewanie w nr. 53 takie poglądy:

„Jesteśmy przeciwni na razie wszelkim związkom antiniemieckim lub antiżydowskim — tem więcej zachęcamy gorliwie cichą pracę i walkę o palmę na polu ekonomicznym.

Gdyby miał jednak nadejść czas, gdzie przed ostateczną zagładą ratować nas będzie mogła tylko agitacya szalona, lub pomoc obca, to wtenczas, jak zwykle, pierwsi staniemy do walki.

Pamiętajmy o tem, że jedna krótka wojna — może zmienić zupełnie mapę Europy i że Słowiańszczyzna zjednoczona nie potrzebuje lękać się Germanów. My jej przedmurzem; bądźmy przeświadczeni o tem, i wierni naszemu zadaniu!

—

„*Orędownik*" cytuje w nr. 52 wywody „Kuryera Pozn." w sprawie ostatniej antipolskiej mowy ministra Bossego i takie poświęca uwagi rozczarowaniu, cechującemu artykuł klerykalnolojalnego organu:

Oto habemus reum confitentem — wreszcie po czterech latach rozpusty politycznej przyznaje partya dworska w „Kuryerze":

1) że została w pole wyprowadzona;

2) że ją pan minister Bosse wyleczył z wszelkich złudzeń;

3) wreszcie, że z nauką języka polskiego jesteśmy tak daleko, jakeśmy byli po 1887 r.

Jestto formalne zwinięcie interesu politycznego.

Od wszelkich uwag nad tą deklaracyą „Kuryera" wstrzymujemy się, bo one dla naszych czytelników są zbyteczne.

Niech partya dworska razem z „Kuryerem" spoczywa w pokoju!

„*Orędownik*" zamieszcza w nr. 49 replikę na wywody ministra Bossego w sprawie „prasy ludowej i między innemi takie wypowiada opinie:

„Polska prasa ludowa jest na wskroś narodową i obronę interesów narodowych uważa za swe pierwsze zadanie. W Berlinie nie należałoby jej robić z tego zarzutów, ani jej tego za grzech poczytywać... Na to środka nie ma, chyba, żeby dla prasy polskiej ludowej zawieszono konstytucyę. Obostrzenia w projektowanej ustawie przeciw przewrotowi, o które publicznie partya dworska wołała w „Kuryerze", także do celu nie doprowadzą. Zawieszenie konstytucyi, częściowe lub zupełne, byłoby krokiem niesprawiedliwym i niepolitycznym nawet ze stanowiska rządu pruskiego. P r a s a l u d o w a p o l s k a s ł u ż y b o w i e m n i e t y l k o s w y m n a r o d o w y m i n t e r e s o m, a l e t a k ż e r z ą d o w i p r u s k i e m u, b o m u n a j l e p i e j u ł a t w i a i n f o r m a c y ę, c o d o r u c h u n a r o d o w e g o w l u d z i e p o l s k i m i k o n t r o l ę n a d t y m r u c h e m" (!!!)

Czy „Orędownik" wywieszający nieraz obok rozumnych zasad demokratycznych sztandar jaskrawego prusofilstwa, zdawał sobie sprawę z wrażenia, jakie ostatnie słowa powyżej cytowanego ustępu wywrzeć muszą na czytelnikach, — w to uwierzyć nam trudno. Zakrawa to bowiem na zapowiedź „denuncyacyi", którą „organ ludowy" wobec rządu pruskiego praktykować się podejmuje. Przypuszczamy raczej, że w polemicznym zapale rzucił „Orędownik" na papier słowa, które przy głębszej rozwadze uzna sam za monstrualne. Radzimy mu jednak szczerze, aby w przyszłości ostrożniejszych dobierał zwrotów i argumentów, bo na tle jego przesadnego lojalizmu i tej fałszywej „trzeźwości", którą nieraz popisywać się lubi, frazesy takie nabierają groźnych pozorów prawdopodobieństwa i namiętnym przeciwnikom stronnictwa ludowego za broń druzgocącą posłużyć mogą.

Przegląd prasy słowiańskiej.

„*Radikalni Listy*", organ czeskiej Omladyny krytykuje zachowanie się posłów młodoczeskich w sejmie czeskim i tak pisze:

„Ostatnia sesya sejmu czeskiego wykazała dowodnie, że w obozie młodoczeskim nie ma jedności, że stronnictwo to sprzeniewierza się dawnym zasadom, to też taktyka taka do celu żadnego nie wiedzie i w skutkach okazuje się szkodliwą. Zadanie stronnictwa pojmujemy z punktu widzenia dwojakiego. Spodziewaliśmy się po Młodoczechach, że wystąpią na całej linii w obronie idei prawa państwowego, a dalej, że będą energicznie występować przeciw osobie namiestnika.

Namiestnik jest sprawcą wszystkich nieszczęść, jakie na kraj nasz spadły. Trzeba, nam było przypomnieć nasze prawo państwowe choćby dla tego, aby ludowi krótko przed nowemi wyborami dowieść, że się o nie upominamy; byłoby to cennym środkiem agitacyjnym. Tego atoli nie wykonano. Jedynym wnioskiem, sięgającym głębiej, był wniosek dr. Vaszatego o ustanowienie najwyższej instancyi sądowej dla królestwa, oraz wniosek dr. Kramarza, dotyczący odpowiedzialności namiestnika wobec sejmu.

Wręcz fałszywą była taktyka posłów mło

WŁODZIMIERZ KOROLENKO.

DZIWNA.

SZKIC.

— Hej: jamszczyk, a daleko jeszcze do stacyi?

— Oj, jeszcze, panie, trudno zdążyć przed nawałnicą; hej, co za zadymka!

I rzeczywiście, nie zdążymy już chyba przed nawałnicą. Pod wieczór zimno coraz większe: śnieg skrzypi pod płozami, wiatr zimny wieje, a huragan wyje i huczy w ciemnym borze; drzewa przydrożne pochylają swe ramiona ku wąskiej leśnej drodze, kiwając niemi groźnie w potężniejącym zmroku wczesnego wieczoru.

Zimno i niewygodnie. Kibitka wąska, boki strzęsione, szable i rewolwery „opiekunów" latają na wszystkie strony, jak szalone.

Dzwonek jęczy długą i monotonną pieśnią w takt wyjącego wichru.

Na szczęście widać nareszcie jakieś światełko na samym skraju lasu.

„Opiekunowie" moi, brząkając całym arsenałem broni, strzepują śnieg w silnie ogrzanej i zakopconej izbie „stacyi". Biednie tu i niepociągająco. Gospodyni wnosi do świetlicy dymiące łuczywo.

— Nie macie czego do zjedzenia kobieto? pytam?

— Nic nie mamy...

— A ryby? Przecież rzeka blisko?

— Były, były, ale wydry wyniszczyły.

— A kartofle?

— Zmarzły.

Cóż robić? Gospodyni chleba dała, znalazł się ku podziwieniu samowar i to była nasza kolacya.

Ogrzaliśmy się herbatą, najedliśmy się chleba, byla i cebula, przyniesiona przez gospodynię. A huragan na dworze huczał, śniegiem drobnym w szyby sypał, chwilowo nawet światło łuczywa trzęsło się i chwiało.

Nie będziemy mogli jechać, nocujcie — mówię do „opiekunów".

— Cóż, nocujmy. Wam, panie, spieszyć poco? Co za okolica tutaj, a tam jeszcze gorzej, wierzaj pan na słowo.

Umilkło w izbie. Nawet gospodyni odłożyła swoję balię z bielizną i położyła się spać, zagasiwszy łuczywo. Ciemność i milczenie zapanowały, niepokojone uderzeniami fal napływającego wiatru.

Nie spałem. W głowie mojej, w takt burzy powstawały i ulatywały, goniąc się wzajemnie, ciężkie i przygnębiające myśli.

— Pan nie śpi jakoś — przemówił jeden z „opiekunów", „starszy", dosyć sympatyczny o przyjemnem i względnie inteligentnem nawet obliczu, człowiek roztropny, w zawodzie swoim znawca i dla tego nie pedant. W drodze nic uciekał się on do niepotrzebnych formalności i ograniczeń.

— Tak jest, nie śpię.

Chwila milczenia, lecz słyszę, że i sąsiad mój spać nie może — i w jego głowie zapewne błąkają się jakieś myśli. Drugi „opiekun" — młody, „podręczny", — śpi snem zdrowego, lecz mocno znużonego człowieka. Od czasu do czasu mruczy coś pod nosem.

— Dziwię się wam — usłyszałem znowu równy piersiowy głos podoficera — ludzie młodzi, szlachetni i wykształceni, a w taki sposób życie swoje przepędzacie?

— Jakto?

— Och, panie. Czy to my nie rozumiemy? Dosyć pojmujemy, by przypuścić, że jednakże innem życie wasze było i nie do tego z dzieciństwa przywykliście...

— Mówicie na wiatr — odrzekłem — rzecz nie w tem, do czegośmy się z dzieciństwa przyzwyczaili — był czas i odwyknąć...

— Czy panu tak wesoło? — pyta on tonem zwątpienia.

dočeskich wobec hr. Thuna. Namiestnik, jako reprezentant rządu, zajął wrogie stanowisko wobec stronnictwa, a posłowie młodoczescy zajęli stanowisko kompromisowe, zmieniające się „von Fall zu Fall“.

W dniu 31 stycznia przemawiał namiestnik przeciw wnioskowi dr. Kramarza, a Młodoczesi na to milczą. Dnia 8 lutego wypowiedział długą mowę po niemiecku, a i w tem mu nie przeszkodzono. Na różne interpelacye odpowiadał po niemiecku, a tylko przy rozprawie nad budżetem posłowie nasi chcieli go do milczenia zmusić.

Widocznem jest, jak się polityka młodoczeska raz na tę, raz na ową stronę przechyla. Młodoczesi potępiali namiestnika dla tego jedynie, że po niemiecku mówi, zapominając, że jest reprezentantem rządu, wrogiego naszemu społeczeństwu, że taki stan rzeczy sprzeciwia się pojęciom zasadniczym konstytucyi i sprawiedliwości. Obojętnem jest, czy namiestnik, zajmujący wrogie wobec narodu stanowisko, mówi po niemiecku, — nie chodzi nam bowiem o formę, ale o rzecz.

Stronnictwo młodoczeskie powinno wiedzieć, że o jakiemkolwiek ze rządem porozumieniu dziś mowy być nie może; że więc wyłączoną jest doniosłość polityki chwiejnej i ustępstw.

Stan wyjątkowy był często przedmiotem dyskusyi. Ze strony młodoczeskiej zapominano, żeśmy oskarzycielami nie oskarżonymi, że stan wyjątkowy nie jest karą, lecz ciągiem dalszym systemu rządzącego. Gdyby Młodoczesi byli rząd obwiniali zamiast uniewinniać się pokornie, byłby rząd przekonał się o bezcelowości obecnego stanu i zgodził się na zniesienie stanu oblężenia.

Sesya wyjaśniła też stosunek naszej szlachty do Młodoczechów. Myśmy już dawniej dowodzili, że stosunek ten może być tylko nieprzyjacielskim“.

* * *

„*Il Pensiero Slavo*“ pisze o stosunkach narodowościowych w Istryi.

„Około roku 600 po Chrystusie opanowali Chorwaci Istryą, wówczas wyludnioną, podobną pustyni. Przez dwa wieki uprawiali spokojnie grunta, byli panami wyłącznymi kraju. Ich językiem nietylko lud mówił, ale i dwory książęce.

Po dwóch wiekach pracy, poświęconej dobrobytowi krajowemu, poczęły się tworzyć pomiędzy nami a Rzymianami wojny. Rzymianie oskarżyli równocześnie Chorwatów przed Karolem Wielkim, jako też ówczesnego gubernatora kraju. Karól Wielki przysłał do kraju komisarzy, którzy działając po myśli cesarza Franków, nieprzejednanego wroga Słowian, oddali pod opiekę Rzymian miasta, pozostawiając wsie Chorwatom. Mimo to powodzenie Rzymian nie było trwałem, ponieważ nie powiodło się im wyprzeć nas z kraju, a nawet opanować miejscowości północnych nad brzegiem morza.

Przez czas dłuższy podlegali Chorwaci istryańscy królom chorwackim; później dostali się pod panowanie różnych władzców. Wszyscy jednak przyznawali Chorwatom prawo rządzenia się własnemi ustawami, posługiwania się językiem chorwackim w urzędach i kościołach. W zgodzie z wolą dożów weneckich zezwolono na zakładanie klasztorów, w których zakonnicy mieli uczyć Chorwatów zasad wiary w ich języku rodzinnym, odprawiać msze w języku starosłowiańskim, lub też głagolickim. Dopiero około roku 1600 poczęło się prześladowanie języka chorwackiego przez biskupów włoskich. Wówczas to palono mszały starosłowiańskie, niszczono na kościołach napisy chorwackie i zaprowadzono księgi kościelne włoskie. Ucisk ten przeminął atoli i cesarz Franciszek nakazał drukować księgi mszalne chorwackie dla Istryi w chorwackim języku.

Na nowo podjęto przeciw Chorwatom wojnę w ostatnich dwóch dziesiątkach lat. Narodowość chorwacka na Istryi ma swe nieprzedawnione prawa. Walkę o te prawa wieść będzie nieustraszenie, wierząc w to, że broni sprawy słusznej. Na tym punkcie nie ustąpimy, choć zawsze jesteśmy gotowi do pożycia zgodnego z ludnością włoską.“

LITERATURA I SZTUKA.

August Strindberg
o malarzach francuzkich.

Strindberg bawi w Paryżu od kilku miesięcy i czynny bierze udział w życiu tutejszem. Z powodu wystawy i sprzedaży obrazów Pawła Gauguina*), impresyonisty, o bardzo wysoko rozwiniętej indywidualności; Strindberg napisał artykuł w formie listu do Gauguina, z którym pozostaje w przyjaźni; lecz którego zapatrywań na sztukę bynajmniej nie podziela.

„Chcesz, bym coś napisał o twoich obrazach; otóż wręcz ci tego odmawiam, bo ich nie rozumiem i nie lubię. Wolę napisać coś ogólniejszego o innych francuzkich malarzach, którzy też swego czasu uwielbienia mojego nie zyskali i niechaj te słów kilka będą pamiątką zimy 1894—95, razem spędzonej w Paryżu, w pobliżu Panteonu, a bliżej jeszcze cmentarza Montparnasse.

Po raz pierwszy przybyłem do Paryża w roku 1876. Miasto nacechowane jeszcze było smutkiem wspomnień przebytej przed kilku laty strasznej wojny, lękało się przyszłości i coś nieokreślonego się w niem burzyło. W kółku artystów i literatów szwedzkich nic jeszcze nie wiedzieliśmy o Emilu Zoli, bo „l'Assommoir“ dopiero miała się ukazać. Poszedłem zobaczyć Sarę Bernhardt w teatrze Komedyi francuzkiej, wiedziałem bowiem, iż ją uznano za godną następczynię Rachel a zaraz nazajutrz kilku młodych szwedzkich malarzy prawie gwałtem zaprowadziło mnie do Durand-Ruela, w którego wystawionej galeryi miałem zobaczyć coś zupełnie nowego, nieznanego dotychczas w malarstwie. Większość wystawionych obrazów była podpisaną przez Maneta i przez Moneta. Na nowość ich sztuki patrzałem spokojnie obojętnie; myśl miałem zajętą właściwym celem mego przyjazdu do Paryża (jako sekretarz Biblioteki sztokholmskiej wysłany zostałem do Paryża dla wyszukania w Bibliotece Sainte-Geneviève pewnej średniowiecznej książki do nabożeństwa pisanej po szwedzku). Nazajutrz, nie zdając sobie dobrze sprawy dlaczego, wróciłem do galeryi Durand-Ruela, odkryłem, że jest „jakieś coś“ w tem zadziwiającem sposobie malowania Maneta jak i Moneta. Patrząc na port wyobrażony na obrazie, widziałem ścisk i przepychanie się tłumu, jakkolwiek artysta nie namalował tego tłumu; widziałem przebiegający szybkim pędem pociąg kolei żelaznej wsród namalowanego normandzkiego krajobrazu; patrząc na obraz przedstawiający ulicę, widziałem ruch powozów i szybkie obroty kół. Wystawione portrety przedstawiały rysy kobiet brzydkich, które widocznie nie potrafiły spokojnie pozować i dlatego artysta mógł z nich stworzyć tylko nieudane szkice. Uderzony dziwacznością wszystkich tych obrazów, opisałem moje nad niemi spostrzeżenia i artykuł wysłałem do redakcyi jednego z dzienników w Sztokholmie. Mówiono mi, iż artykuł ten wywołał niemało u nas wrzawy, chociaż nie-

---

— Nie wesoło, co tu mówić... A wam wesoło?

Milczenie. Hawryłow (nazwijmy tak mego towarzysza), zdaje się rozmyślać nad czemś...

— Nie panie, powiem panu... Słowem zaręczam, czasami tak bywa, że po prostu zdaje się, iż człowiek na świat by nie spojrzał... dla czego to, nie wiem,ale czasami tak przystąpi, że tylko nożem się przebić!..

— Czy służba taka ciężka?

— Służba, służbą... Ma się rozumieć, nie spacer to, a i władza, trzeba przyznać, wymagająca, a jednakże nie z tego to.

— Więc z czegoż?

Kto to wie?

Znowu milczenie.

— Jeszcze teraz, to znieczulałem, przywykłem. No, i władza nie zapomina, podoficerem zrobili, kar żadnych nigdy nie było, a i do domu prędko — do wysłużenia...

— Więc cóż?

— Ot, powiem panu, co za zdarzenie miałem... Wstąpiłem do służby w 1874-tym roku wprost do oddziału żandarmskiego. Służyłem dobrze i mogę powiedzieć z oddaniem się. Naznaczano mnie na posterunki, na zebrania publiczne, do teatru itp. Ponieważ i czytać dobrze umiałem, władza o mnie pamiętała. Nasz major, pochodzący z tej samej okolicy co i ja, widząc moją pilność, przywołał mnie pewnego razu do siebie i powiedział:

— Słuchai, Hawryłow, chcę cię przedstawić na podoficera; jeździłeś ty kiedy z politycznymi?

— Nie jeździłem, wasze błahorodie — odpowiadam.

— Naznaczę cię na przyszły raz — powiada — na „podręcznego“, przypatrzysz się — rzecz nie trudna.

— Według rozkazu, wasze błahorodie, — odpowiadam — postaram się!

A z politycznymi nigdy nie jeździłem. Chociaż rzecz to nie trudna, a jednakże i o instrukcyach pamiętać należy i roztropność potrzebna. No, dobrze. W tydzień później wołą mnie służący do naczelnika razem z jednym podoficerem. Przyślişmy.

— Pojedziecie z politycznymi — powiada — a to jest — mowi podoficerowi — twój „podręczny“. Jeszcze nigdy nie jeździł. Pamiętajcie być uważnymi i spiszcie się dzielnie; z panną pojedziecie. Oto macie instrukcyę; pieniądze dostaniecie jutro — z Bogiem!

Podoficer Iwanow był moim „starszym“, tak, jak ja teraz dla tego drugiego żandarma. „Starszy“ dostaje instrukcyę, pieniądze i papiery, on się w razie potrzeby podpisuje i rachunki prowadzi, a szeregowca dodają mu do pomoey: czy gdzie posłać, rzeczy przypilnować, lub coś podobnego... No, dobrze... Rano, ledwo świtać zaczęło, wychodzimy od naczelnika — patrzę, a mój Iwanow zdążył się upić. A był on, prawdę mówiąc, wcale nie odpowiednim — teraz już zdegradowany. Wobec władzy zachowywał się, jak na podoficera przystało, a nawet drugich pilnował — wiadomo, lizał się. A jak tylko nikt z oficerów na niego nie patrzał, zaraz szedł się upijać.

Otóż z nim poszedłem do zamku i jak należy papier wręczyliśmy, stoimy i czekamy. Ciekawy byłem, co to za pannę wieźć nam przykazano, a według marszruty droga była daleka. Jechaliśmy tą samą, co i teraz, tylko że była ona naznaczoną do miasta, a nie do osady, jak pan. Tak mnie ciekawość i brała, że to pierwszy raz — czekam więc. Staliśmy tak z godzinę, póki nie upakowali jej rzeczy, a było ich nie wiele — spodnica, to i owo, jak pan zresztą wie u kobiety. Książki też miała, więcej nic; myślę sobie: z niebogatych rodziców pewnie. Wyprowadzili ją nareszcie; patrzę, młodziutkie to, dzieckiem prawie się zdawała. Włosy blond, w warkocz splecione, na policzkach gorzał rumieniec, lecz potem w drodze znikł i bledziutka była... Tak mi się jej żal zrobiło, tak żal, że doprawdy...

Zaczęła się ubierać, włożyła palto i kalosze. Mieliśmy nakaz zrewidować rzeczy; takie prawo jest: według instrukcyi jesteśmy obowiązani rzeczy rewidować.

— Pieniądze pani przy sobie posiada? — pytamy.

dobrze rozumiano odczute i doznane przezemnie wrażenia.

W roku 1883 przybyłem powtórnie do Paryża. Manet już nie żył, lecz kierunek przez niego stworzony miał licznych spadkobierców, walczących o hegemonię z Bastien Lepagem na czele.

Po raz trzeci przybyłem do Paryża w roku 1885 i trafiłem właśnie na zbiorową wystawę obrazów Maneta, który był już uznanym za mistrza i zajmował stanowisko odrębne: miał swoją klasyfikacyę w dziejach francuzkiego malarstwa: lecz wkrótce potem otworzono wystawę obrazów z ostatnich lat trzech. Ujawniła się tam najzupełniejsza anarchia. Wielka różnorodność stylu, kolorytu, tematu: historya, mitologia, naturalizm — mieszały się, sąsiadując pospołu. Nie chciano słuchać o żadnych szkołach, ani tendencyach. Niezależność artystycznych manifestacyj, swoboda malowania, jak się chce, były hasłami dnia. Taine wypowiedział, iż „ładne“ nie miało nic wspólnego z „pięknem“ a Zola napisał, iż sztuka jest odrobiną natury, widzianej i odtworzonej zależnie od temperamentu artysty.

Pomimo zwycięzkiego w owe czasy naturalizmu, był innego kierunku artysta, którego nazwisko wszyscy wymawiali z uwielbieniem. Artystą tym był Puvis de Chavannes. Był on sam jeden, oddzielne zajmując stanowisko, stanowiąc jakby antytezę tamtych. Malował on z przejęciem, wiarą w swoje ideały. Współcześni upatrywali w jego obrazach aluzye, których w płótnach swoich nie umieszczał. Słowo „symbolizm“, jeszcze wtedy nie weszło w użycie, a jest-to określenie dość niefortunne, które nie odnawia rzeczy starej, to jest „alegoryi“.

Po spędzonym wczoraj wieczorze w twojej pracowni, mój kochany Gauguin, myśl moja pobiegła ku sztuce Puvis de Chavannesa, chociaż tak wielce różnymi jesteście. Jedyną łączność pomiędzy wami stanowi nowość świata, jaką stworzycie, lecz każdy na swój sposób. Obrazy twoje, które wczoraj widziałem zebrane, przeraziły mnie jaskrawością i olśniewającemi potokami słońca. Ilość ich i dziwaczność prześladowała mnie noc całą, przyprawiając o sen niespokojny. Namalowałeś na nich drzewa nieznane przez żadnego botanika, zwierzęta, o których Cuvier nie miał wyobrażenia, ludzi stworzonych przez własną twoją fantazyę, morze, płonące jak wulkan, niebo, w którem nie chciałbym przebywać. I w gorączkowym śnie moim mówiłem do ciebie:

— Stworzyłeś pan nową ziemię i nowe niebo. Lecz stanowczo nie spodobają mi się wymyślone przez pana światy. Rażą mnie swoją słonecznością, przekładam nad nie rzeczy mniej jaskrawe. Ewa, zamieszkująca ów raj, nie jest moim ideałem, gdyż zapewniam, że i ja mam swój ideał niewiasty, może nawet nie jeden, lecz dwa.

Dzisiejszego ranka poszedłem do Muzeum luksemburskiego, by spojrzeć na obraz Puvis de Chavannesa, bo mimowoli wciąż o nim myślałem.

Stanąłem przed „Biednym rybakiem“ i patrzyłem na niego z głęboką sympatyą. Jak on pilnie wypatruje ryby, jak chce ją złowić, by zdobyczą tą pozyskać zadowolenie i wdzięczność swojej wiernej żony, zbierającej kwiaty na łące i nakarmić biedne swoje dziecko! Obraz jest piękny! Lecz wtem spoglądam na cierniową koronę, opasującą skronie rybaka i tracę wątek — już nic nie odnajduję. Nienawidzę koron cierniowych! Nie chcę Boga, znoszącego i poddającego się cierpieniu. Nad takiego Boga wolę innego chociażby Witsliputsli, który, wygrzewając się na słońcu, pożera serca stworzonych przez siebie ludzi. Nie, Gauguin nie został stworzony z żebra Puvis de Chavannesa, ani z żebra Maneta, ani też z żebra Bastien Lepage'a! Kimże więc jest Gauguin?... Gauguin jest człowiekiem niesfornego umysłu, dzikim, nienawidzącym cywilizacyi, wśród której mu jest ciasno. Woli on utrzymywać, iż niebo jest czerwone, byle nie mówić narówni z innymi, iż jest niebieskie.

J....z.

---

*) Gauguin, malarz impresyonista, wystawił obrazy malowane w czasie kilkoletniego swego pobytu na wyspie Taiti—obecnie, zebrawszy ze sprzedaży przeszło 20,000 fr., znów tam wyjeżdża.

Przyjaźń dwóch poetów.

(*Wł. Spasowicz. Schiller i Göthe w pamiętnem dziesięcioleciu ich przyjaźni. 1895.*)

Rozmaite wspomnienia budzi każda data w rozmaitych umysłach. P. Spasowicz przypomniał sobie w roku ubiegłym o tem, że jest to stuletnia rocznica zawiązania przyjaźni między dwoma geniuszami stojącymi na szczycie oświaty XVIIIstulecia w Niemczech, a po części nawet całej Europy. Dzięki temu przypomnieniu powstał szereg artykułów w „Kraju,“ które obecnie tworzą książkę oddzielną.

Książka ta jest tembardziej pożądaną, że bardzo mało pisano u nas o dwóch największych poetach niemieckich, zwłaszcza zaś o Szyllerze: nazbyt pobieżna jednak i okolicznościowa — uwzględnia bowiem tylko dziesięcioletni okres od 1794—1805 z życia obu pisarzy, budzi ona raczej chęć przeczytania całości bardziej wyczerpującej niż zadawalnia tem co daje: ale to już wina obranego tematu. Bądź co bądź, książkę p. Spasowicza przeczyta niejeden z przyjemnością i korzyścią.

Autor zaczyna od opisania domów Göthego i Szyllera, które wdzięczna pamięć narodu przechowywa dotychczas w tym stanie, jak były za życia ich właścicieli ze wszystkiemi sprzętami i drobnostkami otoczenia.

Jest to niezawodnie najlepszym sposobem wprowadzenia czytelnika do rzeczy. — W mieszkaniu u Göthego „ogrom rzeczy pięknych, gustownych i interesujących a bardzo mało odpowiednich wymaganiom dzisiejszego komfortu“ — to znaczy że Göthe był artystą i uczonym, ale wcale nie był pseudo-estetykiem.

„Uwielbiając Szekspira, Göthe go nie naśladował; był największym mistrzem w sztuce samoograniczania się dla tem większej twórczości“ (str. 7).

Toż samo u Szyllera: „prosty człowiek nie poprzestałby na niziutkiem, wązkiem łóżku, na którem, kiedy skonał, na jego twarzy zastygło uczucie niewymownej goryczy i głębokiego smutku, z domieszką jakiejś bardzo podniosłej wzgardy“ (str. 10).

Dalej odtwarza nam autor według listów i wspomnień, pierwsze próby zbliżenia się obu geniuszów, z których już jeden był prawie na szczycie sławy — drugi zaledwie wielce obiecującą wschodzącą gwiazdą. Próby te utrudniła początkowo Szyllerowska krytyka Egmonta. „Jakkolwiek łagodna, zadrasnęła ona ambicyą Göthego, a rewolucyjny charakter pierwszych dramatów Szyllera uprzedził do niego spokojnego i zrównoważonego już wówczas dworaka. — Dopiero w kilka lat później, zakładając pismo „Die Horen,“ zaprosił Szyller Göthego do spółpracownictwa. Podało to powód do zbliżenia, które jednak o mało nie skończyło się gwałtownem zerwaniem przy pierwszem spotkaniu osobistem w Jenie. — Spotkali się obaj na posiedzeniu Towarzystwa przyrodniczego. — Göthe zajęty gawędą o prz dmiocie odczytu, wstąpił do mieszkania Szyllera i tu niebawem zaczął mu rozwijać swoje teoryę metamorfozy roślin, kreśląc plan idealnej rośliny. Wykrzyknik Szyllera — „ależ to nie fakt, tylko idea,“ o mało, że nie zerwał nawięzujących się stosunków. Ten zarzut obudził dawne ideowe roz-

---

Okazało się, że miała rubel kopiejek dwadzieścia, które wziął na przechowanie „starszy“.

— Muszę panią zrewidować — mówi do niej. Lecz ona uniosła się. Oczy się jej zaiskrzyły, rumieniec silniej na twarz wystąpił. Wargi cienkie zagryzła. Spojrzała na nas takim wzrokiem, że niech mi pan wierzy, przystąpić do niej nie śmiałem. No, a „starszy“, wiadomo, podcięty, prosto do niej wali...

— Jestem obowiązany — mówi — taką mamy instrukcyę.

Lecz jak nie krzyknie na niego, nawet Iwanow zląkł się i odstąpił. Patrzę na nią, twarz jej zbladła, ani kropelka krwi, a oczy pociemniały i zła, ach, jaka zła...

Nogą tupie i mówi coś szybko, tylko że doprawdy nie słuchałem nawet uważnie, co mówiła. „Smotritiel“*) także się zląkł i przyniósł wody w szklance.

— Niech się pani uspokoi — prosi ją — nad samą sobą się zlituje.

A ona i na niego napadła.

— Barbarzyńcy, — mówi — niewolnicy...

I jeszcze dużo obelżywych słów mu powiedziała. Uprowadził ją do drugiego pokoju i z przełożoną niedługo z tamtąd wyszli.

— Nic przy niej nie ma — mówi.

A ona patrzy na niego z drwiącym uśmiechem, a oczy ma takie złe... A Iwanow pijak obrzydliwy, patrzy i ciągle mruczy:

— Nic! według prawa, ja mam — powiada — instrukcyę... Tylko że „smotritel“ na niego uwagi nie zwrócił.

Pojechaliśmy. Przejeżdżamy przez miasto, a ona ciągle w okno patrzy, tak jakby się żegnała, lub znajomych szukała. A Iwanow wziął i zasunął roletkę. Wcisnęła się w kącik i patrzy na nas. Nie wytrzymałem: ująłem za roletkę i jakby chcąc sam wyjrzeć, odsunąłem, by mogła przez okno wyglądać... Tylko, że ona patrzeć nie chciała, ciągle zła w kącie siedzi i wargi do krwi przygryza...

Pojechaliśmy koleją. Pogodnie było w ten dzień, a było to jesienią we wrześniu. Słońce świeci, wiatr jesienny świeży, a ona okno we wagonie otworzyła, na wiatr głowę wychyliła i tak siedzi. Według instrukcyi nie jest to dozwolonem, lecz Iwanow zaraz, jak się do wagonu dostał legł i chrapać zaczął w najlepsze, a ja nie śmiałem jej powiedzieć. Odważyłem się nakoniec, podchodzę do niej i mówię:

— Panienko, proszę zamknąć okno.

Milczy, nie zwracając na mnie uwagi tak, jakbym nie do niej się odezwał, a wiem, że słyszała. Postałem trochę i znowu mówię:

— Panienka się zaziębi, zimno przecież... Obróciła twarz w moję stronę, udając zdziwienie. Popatrzała i mówi cichym głosem:

— Proszę mnie zostawić w spokoju. — Znowu głowę na wiatr wysunęła. Machnąłem ręką i odszedłem. Uspokoiła się nareszcie. Zamknęła okno, otuliła się paltem, widocznie grzeje się. Mówię: „wiatr przejmujący, chłodno cokolwiek“. A ona znowu do okna idzie i znowu cała na wietrze, nie może się widocznie po więzieniu, świata bożego napatrzeć. Powesélała nawet, uśmiechać się do siebie zaczęła i tak mi było dobrze wtedy na nią patrzeć, że doprawdy, gdyby mi ją oddali, zarazbym zamiast na wygnanie, sobie za żonę ją wziął.

Z miasta trzeba było jechać kibitką. Iwanow był pijany strasznie; co się obudzi, to znowu pije. Wyszedł z wagonu, słaniając się. No, myślę sobie, źle, aby tylko pieniędzy skarbowych nie zgubił. Wlazł do kibitki, położył się i wnet chrapać zaczął. Ona popatrzała na niego z obrzydzeniem, zupełnie jak na gadzinę jaką i wcisnęła w kątek tak, aby się go nie dotknąć. Ja siadłem na koźle. Ruszyliśmy. Wiatr zimny się zerwał. Zziąbłem; patrzę, zimno i jej. Zakaszlała silnie, chusteczkę do ust przyłożyła a na chusteczce krew... Tak jakby mnie kto w serce kolnął...

— Jak to można, panienko, — mowię — jechać w taką pogodę, będąc chorą, przecie zimno przejmujące!

Spojrzała na mnie i znowu wzburzenie nią owładnęło.

— Cóż wy, głupi jesteście, czy co? Czy nie rozumiecie, że nie z własnej chęci jadę

*) Dozórca.

drażnienie Göthego przeciw swemu współzawodnikowi. Niebawem jednak tak pociągająca siła młodego geniuszu, przyczyniły się do przełamania lodów.

Istotnie nawiązanie przyjaźni wśród dwojga ludzi, których przodowanie w sztuce ówczesnej powodowało mimowolne współzawodnictwo, z których jeden, stojąc u dworu, otoczony zaszczytami i sławą, musiał być naturalnie drażliwym na wszelką opozycyą ze strony młodszego, mniej sławnego współzawodnika, a których charaktery, usposobienia i skład myśli różniły się prawie biegunowo — było bardzo trudne. Raz jednak zawiązana przyjaźń musiała być silną, trwałą i płodną w następstwa. Obaj uzupełniali się wzajemnie w wielu punktach, oddziaływali na siebie, to dając sobie nawzajem pobudki, to powściągając i łagodząc jednostronność usposobienia lub końcowość myśli.

Göthe był naturą zdrową fizycznie i moralnie: wstawał wcześnie, pracował przeważnie w rannych godzinach, unikał wszelkich sztucznych podniet, nienawidził fajki. — Jego twórczość płynęła z nieświadomych dla niego źródeł: była intuicyjną i bezpośrednią. — Był on człowiekiem życia i epikurejczykiem w nieco szlachetniejszem znaczeniu wyrazu — unikał przykrych wzruszeń, opanowywał namiętności, nigdy nie oddając się całkowicie uczuciu: lubił piękno we wszystkiem i miał szczególny pociąg do przedmiotowości, do przyrodoznawstwa. — Göthe był słabym filozofem, ale panteistą z natury. Schiller był chorowity i słaby: zmuszony do tego po części przez warunki ekonomiczne, po części przez gorączkowy temperament, pracował nadmiernie, szukając podniety w środkach sztucznych i wyczerpując życie dla twórczości: praca nocna, woń zgniłych jabłek, tytoń, gorące okłady na głowę i lód na nogi — wszystko się używało, aby utrzymać w stanie podnieconym znużony umysł. — Twórczość jego była refleksyjną, wiele tam było obmyślanego, płynącego z poglądów filozoficznych, które odznaczały się tak niezwykłą głębią, że zapewniły mu trwałe stanowisko w historyi tej umiejętności.

Potrzebował on wyrozumować przed sobą swoję własną twórczość, dalsze jej oddziaływania i cele; — stąd filozofia sztuki i piękna, którą stworzył.

Mniej dyletant w przyrodoznawstwie od Goethe'go, gdyż skończył szkolę lekarską, miał on zawsze więcej pociągu do wiedzy o człowieku i duchu, do dziejów, a jego twórczość poetycka jest uplastycznieniem wielkich idei Rousseau'a, idei wolności, ideałów przyszłości. Był on zawsze filozofem w swoich poezyach i poetą w twórczości filozoficznej.

Ta przeciwstawność charakterów i rodzajów twórczości była może źródłem, z którego wypływała myśl jednej z najbliższych prac filozoficznych Schillera, należących do okresu jego przyjaźni z Goethe'm — *O poezyi naiwnej i sentymentalnej* (1795—96). Do pierwszej kategoryi zalicza Schiller większą część greków, w tej liczbie Homera, z nowożytnych zaś Szekspira; do sentymentalnych poetów — Eurypidesa, poetów rzymskich i prawie całą poezyę nowożytną. — Pod tym podziałem ukrywa się inny, którego możemy się domyślać, powiada p. Spasowicz: „Schiller zestawia swoję twórczość z twórczością Goethe'go z drugiego okresu, do którego należą dzieła, napisane po powrocie z Włoch i aż do starości, kiedy zaczął tworzyć rzeczy już tylko symboliczne. — Schiller broni swojego rodzaju twórczości dowodząc jego prawności i konieczności. — Pierwszy gatunek poezyi przedstawia naturę w najrozglejszem znaczeniu, a zatem i człowieka bezpośrednio i z pierwszej ręki, zmysłowo i plastycznie, bez żadnego względu, czy przedstawienie będzie piękne, byle było prawdziwe, nie narzucając widzowi żadnych swoich pomysłów, żadnego ideału, uniewidomiając się za obrazem, jak Bóg się uniewidomia w stworzeniu. — Drugi gatunek właściwy jest sztuczniejszym i skomplikowańszym układem społecznym, rwącym się ku pierwotności, ku naturze wyzwolonej z więzi (?) nienaturalnych stosunków i zwyczajów (str. 35—37). Może dokładniej byłoby powiedzieć, że pierwszy rodzaj jest wyrazem naiwnej uczuciowości ludów młodzieńczych i dla tego obraca się w obrębie najprzystępniejszych uczuć: drugi odpowiada wysoce skomplikowanej duszy człowieka ucywilizowanego. Dla tego też nazwa poezyi *sentymentalnej*, t. j. posiadającej pewne wyrobienie uczuciowe, przeciwko której robi zarzuty p. Spasowicz, jest w istocie bardzo trafną. — Stosunek obu rodzajów jest taki, jak pieśni ludowej do symfonii Beethowena.

Rzecz prosta, że rodzaj „sentymentalny“ więcej przypada do potrzeb człowieka wykształconego, niż naiwny i to tłomaczy nam, dla czego Schiller został najpopularniejszym z poetów.

Ale potrzebujemy nieraz odświeżyć umysł, zmęczony wysiłkami, jakich wymaga ujęcie utworu sentymalnego (czyli refleksyjnego), i wtedy zanurzamy się w świeży zdrój poezyi naiwnej.

Goethe żartował z tego podziału: był on zresztą wrogiem wszelkiej analizy. — Prawdą jest, że w życiu rodzaje te nigdzie nie są tak rozdzielone jak w teoryi: niemniej jednak sam on, chociaż w wielu utworach nienaiwny, zbliżał się niezawodnie do tego typu. — To też chętnie przechodzimy do Goethego, aby w jego pogodnej twórczości znaleźć wypoczynek od idejowych namiętności i burz poezyi Schillera.

Różnica objawia się i w sposobie tworzenia: u Schillera nastrój poetyczny czyli natchnienie zjawiało się bez określenia formy, którą dawała dopiero myśl: „U mnie, pisze on do Goethego, uczucie bywa początkowo bez określonego i jasnego przedmiotu, ten się wyjaśnia później. — Poprzedza go pewien nastrój uczuciowy, muzykalny i dopiero po tym następuje pomysł poetyczny.“ — Skoro raz powstał plan, Schiller wykonywał go z całą świadomością, obmyślając szczegóły, rozmawiając chętnie o przyszłym utworze, pracując dzień po dniu. — Słowem był on zupełnym panem swojej twórczości.

U Goethego przeciwnie, sam nastrój twórczy objawiał się już z gotową ideą poetyczną, płynącą ze źródeł nieświadomych. — Nie lubił on zwierzać się ze swojemi planami: „Wiem, mówił, że nigdy nic nie zrobię, skoro komukolwiek zwierzę się z mego planu w robocie, albo skoro go komu wyłożę.“

Na tle tej przeciwstawności typów, charakterów i sposobów myślenia, przebiega autor nasz poglądy estetyczne Schillera i polityczne Goethego, oraz owoce związku obu poetów, t. j. te utwory poetyckie, w których daje się widzieć bezpośrednie wzajemne oddziaływanie. — Do takich należą ze strony Goethego przeważnie „*Faust*“ i „*Lata uczniowskie Wilhelma Majstra.*“ Oprócz kilku scen początkowych z „Fausta“, wydrukowanych w r. 1790, napisane już były w Rzymie sceny „*Kuchnia wiedzm*“ i „*Wald und Hoehe*“ oraz cała prawie tragedya Małgosi, doprowadzona do jej pokuty, a napisana pod wpływem wspomnień miłości dla Fryderyki Brion, w której kochał się Goethe, będąc studentem. — Dopiero w r. 1797 po długich namowach ze strony Schillera przystąpił Goethe do dalszej pracy nad najznakomitszym z utworów swoich.

„Lata uczniowskie“ zaczęte były w r. 1775; do 1785 napisane było sześć ksiąg; Schiller wpłynął tylko na dwie ostatnie, odczytując rękopis i robiąc na marginesach uwagi, które pobudzały Goethego do przeróbek.

Dalej wspólnie i to tak, że często nie można dojść, kto był autorem, pisana jest większa część *Ksenij* — satyrycznych epigramatów, mających na celu poprawienie smaku i sądów publiczności niemieckiej. — W tym samym czasie (1796—97) stworzył Goethe *Hermana i Dorotę*, dzieło, którym zachwycony był Schiller. Prócz tego wydał on *Absatz ueber etische und dramatische Dichtung* ułożony z własnych notat i wy-

---

Dobry, mówi, sam wiezie i jeszcze ze współczuciem wyjeżdża!

— Dla czego się pani nie zamelduje władzy, jako chora — mówię — lepiej przecież w szpitalu leżeć, niżeli na takie zimno jechać. Droga przecież niekrótka...

— A gdzie? — pyta.

— Mamy surowo zabronione objaśniać przestępców, gdzie ich wieźć przykazano.

Odwróciła się na to i mówi:

— Nie trzeba, ja tylko tak... Nie mówcie, ale dajcie mi przynajmniej spokój.

Nie wytrzymałem.

— Ot — mówię — gdzie pani jedzie. Nie blisko.

Zacisnęła usta, brwi ściągnęła, ale nic się nie odezwała. Pokiwałem głową.

— Ot — mówię — panienka młoda i nie wie jeszcze, co to znaczy.

Bardzo mi żal było, — a ona spojrzała i mówi:

— Napróżno tak sądzicie. Wiem ja dobrze, co to znaczy, a jednak do szpitala nie pójdę. Dziękuję. Lepiej umierać na swobodzie, niż w waszym szpitalu więziennym. Czy wy sądzicie, że ja z wiatru, z przeziębienia zachorowałam?

— Czy pani ma tam krewnych? — pytam się jej, gdyż mówiła mi, że chce się u *swoich* leczyć.

— Nie mam tam żadnych — mówi — krewnych, ani znajomych. Miasta nie znam, ale są tam pewnie tacy, jak ja zesłani.

Zdziwiłem się, że obcych nazywa ona „swoimi“, czyżby ją kto za darmo chciał żywić, a w dodatku nieznajomą? Nie rozpytywałem ją więcej o to, gdyż widzę, brwi ściąga, niezadowolona z mojej ciekawości.

Pod wieczór zaczęły się gromadzić chmury, wiatr chłodny powiał i deszcz począł padać. Błoto, którego i przedtem nie brakowało, teraz stawało się coraz większem. Całe plecy miałem ochlapane, a i jej porządnie zaczęło się dostawać. Jednem słowem, pogoda, na jej nieszczęście, była jak najgorszą. Ni kryta kibitka, ni rogoza, którą ją osłoniłem, nie pomagały. Wszędzie cieknie, przeziębła cała, drży i oczy zamknęła. Po twarzy krople deszczowe jej ściekają, policzki ma blade i siedzi nieruchoma, jakby nieprzytomna. Zląkłem się, widząc, że zaczyna być źle.

Do miasta J... przyjechaliśmy nad samym wieczorem. Obudziłem Iwanowa i kazałem nastawić samowar. Z miasta tego kursują parowce, ale według instrukcyi nie wolno nam wozić nimi przestępców. Chociaż to i dla nas samych byłoby wygodniej i oszczędzić coś na tem można, ale strach. Na przystani, jak pan wie, kręcą się policyanci, a nawet i nasz brat żandarm zadenuncyować może.

A ona mówi:

— Ja dalej końmi nie pojadę: róbcie, co chcecie, a musicie mnie wieźć statkiem.

Iwanow, zły, ale już trochę wytrzeźwiony, mówi:

— Nie pani rzecz o tem rozprawiać. Gdzie zawiozą, tam się i pojedzie.

Nic mu nie odpowiedziała, odwróciła się tylko do mnie, mówiąc:

— Słyszeliście, com powiedziała, nie jadę!

Wziąłem Iwanowa na stronę. Mówię:

— Trzeba statkiem wieźć, — dla was lepiej, oszczędzicie trochę.

Jemu się to podobało, ale tchórz go obleciał...

— Tu — mówi — pułkownik jest, jeszcze będzie bryja,.. Idź, mówi do mnie, poproś, ja jestem jakiś niezdrów.

— Pułkownik mieszkał niedaleko.

— Chodźmy — mówię — razem i ją weźmiemy z sobą.

Bałem się: Iwanow pijany, położy się spać i może się stać nieszczęście. Dziewczyna ucieknie, albo sobie co zrobi i odpowiedzialność spadnie na nas. Poszliśmy do pułkownika. Wyszedł do nas i pyta, czego nam potrzeba. Ona mu objaśnia, ale niełądnie z nim rozmawia. Zamiast, żeby prosić grzecznie, zaczęła po swojemu:

— Jakiem prawem — mówi itp. same obelżywe słowa. (Dokończenie nastąpi.)

ciągów z listów Schillera. — Pomijamy drobniejsze rzeczy, aby przejść do twórczości tego ostatniego.

Oprócz kilku rozpraw o sztuce należą do tego okresu najwybitniejsze utwory młodszego z poetów: *Wallenstein, Oblubienica z Messyny, Marya Stuart, Dziewica Orleańska* i *Wilhelm Tell.*

Do ostatniego, jak wiadomo, dostarczył mu Goethe materyałów, które zebrał podczas podróży po Szwajcaryi w r. 1797, mając na myśli poemat tej treści. W r. 1802, znalazłszy materyał historyczny w kronice Tschudiego przystąpił Schiller do tego arcydzieła, które przedstawione było na scenie Berlińskiej w r. 1804 i sprawiło kolosalne wrażenie.

Żałować należy, że jak w samym układzie materyału książki jest pewna chaotyczność, tak i język jest bardzo zaniedbany, miejscami pełen błędów; tak wszędzie p. Spasowicz używa: „*niedziałka*“ zamiast „*osobnika*“; gdzie niegdzie spotykamy takie potworności jak „na ten koniec“ zamiast w tym celu, „przydziela“ (str. 60) zamiast przypisuje (str. 60) i inne. Niemiłe też robi wrażenie, tłomaczenie w listach niemieckiego *Sie* na polskie *Wy*; zwrót ten wprawdzie używa się często w mowie potocznej, ale niemile razi w druku.

Wł. M. Kozłowski.

Z poezyi najświeższej doby.

(*Andrzej Niemojewski: Z Cyklu „Polonia irredenta“ — Podziemia. Lwów 1895.*)

Pod tytułem „Podziemia“ ukazała się serya pierwsza poematów Andrzeja Niemojewskiego z cyklu „Polonia irredenta“. Książeczka to niewielka, zaledwie dwadzieścia i kilka stronnic druku licząca, a jednak godna bliższej i głębszej uwagi, aniżeli tomowe zbiory „poezyi“ modnych naszych rymorobów w rodzaju pp. Gawalewiczów, Jankowskich, Glińskich itp., dzierżących u nas niestety buławę poezyi polskiej. Czego bowiem tym fabrykantom wierszy niedostaje: siła i głębia uczucia, zapał ognisty dla dobrej sprawy, szczere natchnienie, czerpane w współczuciu dla uciśnionych i cierpiących — to wszystko zmieścił Niemojewski w swoim skromnym na ilość, lecz jakością prawdziwie bogatym zbiorku „Podziemia“.

Pobyt dłuższy wśród rzeszy robotników górniczych, tych prawdziwych paryasów niedoli, spędzających swe życie wśród ciągłego znoju i strasznych niebezpieczeństw podziemi kopalń; — widok nędzarzy, zapracowujących się na to, aby nędzne życie utrzymać, a nie zdolnych zapewnić sobie najskromniejszego bytu; — obserwacyą tej cichej, ale śmiertelnej walki pracy z wyzyskiem, nie występującej nigdzie w tak jaskrawych momentach, jak w przemyśle górniczym, — oto czynniki, które pobudziły twórczość młodego poety, wyposażając talent jego w wspaniałe zasoby szczerego oburzenia na niesprawiedliwości ludzkie.

Szereg obrazków, skreślonych przez A. Niemojewskiego w „w Podziemiach“ — to drobne, lecz w najmniejszych szczegółach wykończane miniatury życia robotniczego, odznaczające się wiernością zdjęcia i artyzmem wykonania. Czyż taki „Upiór kopalni“, dziad nędzny, który postradawszy w kopalni młodość i zdrowie, zniszczone nadludzkim wysiłkiem i syna, zabitego odłamem skalnym, błaga przechodniów, równie jak on nieszczęśliwych, o grosz i wzywa litości językiem najczulszej prośby i najstraszniejszego zwątpienia; czyż postać taka nie wryje się w pamięć czytelnika jako straszna przestroga? Któż nie zadrży, czytając wspaniałe opisy niebezpieczeństw, tchnących zagładą i czyhających za każdym załomem, za każdą czeluścią podziemnych krużganków? Któryż robotnik nie uczuje żywszego bicia serca, któremuż krew nie pokrąży żywiej w żyłach przy czytaniu namiętnych strof „Domu zbornego“?

Mimo to poezye Niemojewskiego nie są utworami tendencyjnemi w tem rozumieniu tego słowa, jakie ono zyskało w codziennem użyciu. Z żadnego wiersza jego nie przebija jakaś wyraźna brutalna aluzya, jakiś dosadni i gruby odnośnik. Myśl zawartą w pięknej, jakby toczącej formie jego wiersza — wznosi się nad poziom zwykłych spraw potocznych: nabiera ona ogólniejszego znaczenia: szybuje po przestworzu idei ogólno-ludzkiej, a nie zniża się nigdy do walki w imię potrzeb chwili. Stąd poezye Niemojewskiego stoją o wiele wyżej n. p. od utworów Karola Henkla, który w Niemczech zbiera laury za swoje śmiałe i jędrne, ale dopasowane do chwilowych prądów wiersze. Utwory Niemojewskiego mogą silne wywrzeć wrażenie na każdym, kto tylko zdolen jest odczuć piękno i grozę walki życiowej, zawierają bowiem pod osłoną obrazów z życia rzeczywistego i świetnych nieraz opisów kopalń — głęboką myśl filozoficzną.

Każde wrażenie nowe, odniesione w podziemiu, wywyluje w duszy poety odrazu refleksyę. Pod jej wpływem rodzą się w jego umyśle analogie natury ogólnej. Fakt na oko drobny i zwykły urasta w oczach jego do znaczenia symbolu, który poeta umie wyrazić w słowach zarówno prostych, jak wymownych.

Oto widok zjazdu górników w ciemną otchłań kopalni, nasuwa mu na myśl bezcelowość bytu i dążeń ludzkości i wtedy poeta śpiewa:

I lecim w głąb ziemi... Kaganiec ściany trąca
A w koło brzmi cicho głos rzewny:
„Ty chciwy człowieku! Czy nie żal ci słońca?
„Czy wrócisz?“ — Któż pyta!... my lecim bez końca,
Jak ludzkość... na fali niepewnej!

a dalej okrzyk oburzenia wyrywa mu się z piersi, na widok niewolników, pracujących bez uznania dla „dobrobytu narodowego“:

Narodu obrońcy! Czy znacie wy ludzi,
Co naród ów karmią i poją?
Czy znacie ten motłoch, co wiecznie się trudzi?
Te boje podziemne, upiory tych ludzi?
Co na dnie kopalń się roją?...
Kto głosi ich tryumf? Kto płacze ich klęski?
Kto ofiar tych pomni nazwiska?
Precz żale!... Nieznany tłum wiedzie bój męski,
Gdzieś w ziemi głęboko ponosi swe klęski..
Gdzieś w ziemi... nieznane mrowiska!...

Szyny pochylni, po których grzmią wózki bez końca, czyż nie przypominają owej drogi pochyłej, po której toczym się wszyscy, niezdolni powstrzymać parcia?

...Kto stanął na torze pochylni,
Już nigdy w spokoju nie legnie!
Lecz d o k ą d my bieżym, my ludzie omylni?...
Świat cały po jakiejś szaleje pochylni
I nie wie, jak kresu dobiegnie!

Daremnie ostrzega go głos wieczności proroczy; siła bezwładności jest nieprzeparta i niezwyciężony jest prąd nią wywołany.

Niezwykła gorycz ironii przebija z ostatniego w zbiorku „Podziemie“ ustępu, zatytułowanego „Dom zborny“. Porównanie wykwintnych gmachów sejmowych, w których śmietanka sfer uprzywilijowanych stanowi prawa i obmyśla ustawy z czarnym, odrapanym domem zbornym robotniczym, — napawa poetę otuchą, że to, czego pierwsze nie zdołały wydać, wyjdzie z drugiego. Poemacik Niemojewskiego pod wpływem tej otuchy, zamienia się na pobudkę, pełną silnych i dźwięcznych tonów, zlewających się przy końcu w potężną fanfarę zwycięstwa.

J. Sue.

Witold Pruszkowski.

(*Dokończenie.*)

Na zachód od Krakowa, po za Bielanami, w bok od Liszek, znajduje się perła okolic krakowskich: urocza dolina mnikowska. Ciągnie

HRABIA LEW TOŁSTOJ.

BEZCZYNNOŚĆ.

(Tłum. **H. St.**)

(Ciąg dalszy.)

Zola twierdzi, iż praca czyni człowieka dobrym — ja zaś przeciwnie, zauważyłem, że praca, jako taka, nie tylko mrówkę, ale i człowieka czyni okrutnym. Najwięksi złoczyńcy pracowali zawsze, nie próżnując ani na chwilę, spragnieni bezustannie zajęcia i rozrywek. W każdym razie, jeźli praca nie jest zdeklarowanym występkiem, to jednakże żadną miarą nie można nazywać jej cnotą; ona jest potrzebą, która niezaspokojona, wywołuje cierpienie, lecz cnotą nie staje się nigdy. Wyniesienie pracy do rzędu cnoty, jest również niedorzecznem, jak niedorzecznem byłoby nazywać zaspokojenie własnych potrzeb żołądkowych godnością lub zaletą. Jedynie wziąwszy pracę jako reakcyę przeciw próżniactwu, które mianowano charakterystyczną cechą arystokracyi i które uważa się jeszcze za pewien rodzaj godności w warstwach bogatych, a mało umysłowo uposażonych, możnaby jej przypisać to znaczenie, jakiem ogólnie cieszy się obecnie.

Praca tj. czynność naszych organów jest dla człowieka zawsze koniecznością, czego dowodzi również zachowanie się cieląt, skakających około pala, do którego je przywiązano; podobnie świadczy o tem postępowanie ludzi bogatych, owych męczenników gimnastyki i zabaw wszelkiego rodzaju, jak gry w karty, szachy, lawn tennis itd.

Praca nie jest cnotą, ona w naszem, źle zorganizowanem społeczeństwie stała się po większej części środkiem zabójczym, tępiącym w nas zmysł moralności, podobnie, jak palenie tytoniu i używanie gorących napojów, służące do utajenia przed samym sobą wszelkich nieregularności i zdrożności naszego życia. „Bo jakżeż mogę pomówić o filozofii, moralności, religii — skoro zredagować muszę gazetę, mającą pół miliona abonentów, budować wieżę Eiffel, zaaranżować wystawę w Chicago, wydać 28-my tom swych dzieł, dokończyć obraz, operę itd.?“ Gdyby ludzie nie mieli zawsze wymówki, że na nich ciąży obowiązek pracy, nie żyliby tak, jak żyją obecnie. Dzięki jedynie tej bezstreściwej, zwykle szkodliwej pracy tają oni przed sobą te wszystkie sprzeczności, w jakich żyją, — jedynie dzięki tej okoliczności mogą wieść żywot na sposób dzisiejszy.

I taki to środek zaleca Zola swoim słuchaczom. On powiada wręcz: „to jest tylko środek empiryczny, by wieść życie uczciwe i prawie spokojne. Jestże to atoli małą zdobyczą, jeżeli przez to nie tylko moralne i fizyczne zdrowie zyskamy, lecz po prostu rozstrzygniemy kwestyą o szczęściu człowieka.“ Taką to radę daje Zola naszej młodzieży.

Jakiem jest zdanie Dumasa?

Zola w swej przemowie ma wyłącznie na myśli młodzież, stara jej się przypodobać, a nawiasem mówiąc, zwyczaj ten na równi z manją schlebiania kobietom wprowadzają w modę niektórzy spółcześni pisarze. Dumas zaś nie zwraca się wyłącznie do młodzieży — lecz objaśnia wiele rzeczy ludziom dojrzałym. Dumas nie prawi młodzieży komplementów, nie schlebia, twierdząc, iż ona odgrywa w społeczeństwie wielką rolę i że w niej spoczywają wszystkie zasoby siły, — przeciwnie, on wiedząc, iż podobne przeświadczenie byłoby tylko dla niej zaporą do stworzenia czegoś dobrego i rozsądnego, gromi ją za zbytnią ufność w własne siły. Zola pragnie ludzi do snu ukołysać, radząc im pozostać na drodze, którą idą obecnie, i wpierając w nich, że to, co umieją, jest właśnie to, co umieć powinni; Dumas zaś budzi ludzi, wykazując im, że postępują błędną drogą; on ich przekonać usiłuje, że nie wiedzą właśnie tego, co wiedzieć powinni. Dumas nie wierzy w przesądy przeszłości, jak również nie wierzy w przesądy teraźniejszości, lecz właśnie dla tego, że wiary swej na nich nie oparł, myśli samodzielnie. Z tej to właśnie przyczyny widzi teraźniejszość i przyszłość również jasno, jak ci, co

się długo wśród dwóch rzędów skał wapiennych, zdumiewających rozmaitością kształtów. Mieszkaniec Królestwa, znalazłszy się w niej przypadkiem przypuszczałby, że go zawieziono do Ojcowa. A nawet są tacy, którzy Mników nad Ojców przekładają.....

Otóż we wsi Mnikowie, leżącej przy wejściu do doliny, nabył sobie Pruszkowski kawał gruntu, wybudował dom z obszerną pracownią i zamieszkał w nim z rodziną około 1882 r. Zadowolnił jednocześnie dwie swoje namiętności: upajał oko pięknością przyrody i wszedł w blizkie, bezpośrednie stosunki z ludem. To też cały prawie czas, wolny od zajęć i pracy, poświęcił obcowaniu z sąsiadami swymi w sukmanach i siermięgach.

Z pracowni mnikowskiej wyszła znaczna część wymienionych powyżej jego obrazów, zacząwszy od „Umizgów“ i „Sielanki“.

Zamieszkanie Pruszkowskiego w Mnikowie miało swe złe i dobre strony. Dobrą stroną była łatwość studjowania natury i typów ludowych, dwóch głównych wówczas źródeł natchnienia artysty. Ale zamknięcie się w zbyt ciasnej sferze, prowadząc za sobą nieuniknione w części zerwanie stosunków z szerszym światem, nie może pozostać bez pewnego ujemnego wpływu na wszelką twórczość artystyczną. Są ludzie pióra, którzy, przeniósłszy się z miasta na wieś, usypiają całkiem na zdobytych laurach: inni, mieszkający na wsi odwiedzają miasto na czas dłuższy jedynie po to, aby w niem pracować nad wcieleniem swych pomysłów. Nie ulega też wątpliwości, że zmniejszyła się w Mnikowie płodność Pruszkowskiego. I choć powiedziałem powyżej, że ziściły się pokładane w nim nadzieje, ale chłodno się zastanawiając, muszę dodać: nie wszystkie. Dał wiele, bardzo wiele, ale nie tyle, ile dać był wstanie.

Zerwanie z Krakowem miało jeszcze inną ujemną stronę. Zabrakło wśród gromadki artystycznej spójnika, który ją łączył; zabrakło Pruszkowskiego w życiu towarzyskiem: brak jego dcwał się uczuwać w instytucjach i sprawach na jakie wpływ wywierał. Jedyną jego w ostatnich latach działalnością po za artystyczną było przewodniczenie komitetowi, zbierającemu składki na pomnik Grottgera.

Pruszkowski sam zresztą musiał odczuwać, że mu za ciasno w Mnikowie, przed rokiem bowiem przeniósł się na dłuższy czas do Krakowa i otworzył w nim swoją pracownię.

Szkic mój portretowy jest już na ukończeniu, ale potrzeba go jeszcze paru dotknięciami uzupełnić.

Wszyscy, zajmujący się sztuką, wiedzą,, co Pruszkowski namalował, ale mało kto zna sposób jego tworzenia. Zabiera się zwykle gorąco do roboty, maluje tydzień, dwa, aż wreszcie, „najadłszy się“ tematu, stawia niedokończony obraz przy drzwiach, lub koło pieca i zaczyna malować co innego. Po pewnym czasie zaczyna go irytować męczyć, że wpół malowane obrazy odpoczywają za długo po kątach pracowni. W takim razie bierze jeden z nich, stawia przed sobą i namyśla się, co z nim zrobić. Czasem jeżeli nie czuje w sobie ochoty do ukończenia obrazu, to na tem samem płótnie tworzy inną kompozycyę. Zdarza się to rzadko, ale się zdarza. Częściej zabiera się do wykończenia, ale nie ma już tego zapału, nie nęci go temat już tak, jak nęcił w początkach, a więc zamiast poświęcić obrazowi jeszcze z miesiąc czasu, załatwia się z nim w ciągu tygodnia. Czy tej metody trzyma się i dzisiaj, nie wiem, ale dawniej w ten sposób powstawały jego obrazy.

Imponująca łatwość, nadzwyczajna wprawa w malowaniu pozwala Pruszkowskiemu tworzyć niezmiernie szybko. Nigdy nie robi szkicu olejnego do obrazu, rzadko nawet kiedy raczy rzucić na płótno pierwszy szkic węglem, narysować kontury, zaznaczyć z lekka kompozycyę. A jemu to na co? Układ i szczegóły ma już w głowie, a pędzel jest tylko tragarzem, który przenosi je od razu na czyste płótno i ustawia w miejscach właściwych. Przyglądałem się raz, jak P. malował pewien portret, będący na wpół obrazkiem rodzajowym. Portretowanego przedstawił w całej postaci, w połowie naturalnej wielkości. W przeciągu godziny podłożył cały portret, następną godzinę poświęcił na wykończenie twarzy. Za drugiem posiedzeniem, trwającem nie więcej jak dwie do trzech godzin, cały portret był zupełnie gotów. Po za tem potrzebował już tylko paru godzin, ażeby narzucić z lekka, jako tło, pejsaż zimowy. Dobrze licząc, zajęła mu ta robota sześć do ośmiu godzin czasu.

Ten sposób malowania zadziwiał wtajemniczonych, ale dostarczał strawy powołanym i niepowołanym, a zawsze chcącym zaspokoić swój głód krytykom. Rysownik znakomity, już w szkole monachijskiej zachwycający nauczycieli dokładnością rysunku, malarz, któremu technika malarska odkryła wszelkie swe tajemnice, raził w znacznej części swych obrazów jakiemś szczegółem, jakiemś „puszczeniem“ pewnej partyi, jakiemś niedomalowaniem, niedorysowaniem, lub przerysowaniem. Ale zważywszy, iż w Madonnie Sykstyńskiej znaleziono już pono 365 błędów, tj. po jednym na każdy dzień roku, możemy Pruszkowskiemu darować szczegóły wobec tak pięknych całości.

Rysem charakterystycznym Pruszkowskiego jako człowieka i kolegi, jest brak wszelkiej zazdrości. Zapewne, że nie ma tak dalece czego komu zadrościć, ale czyż mało jest ludzi, będących w tem samem położeniu, którzy nie są w stanie oprzeć się temu uczuciu, tak bądź, co bądź pospolitemu, dziwnie zespolonemu z naturą ludzką. Nie mówię o miernotach, które niczyjego powodzenia znieść nie mogę, które nie przebierają nawet w nędznych środkach, aby podstawić nogę ludziom o głowę ich przerastającym. Myślę o tych, co stojąc rzeczywiście na pewnej wyżynie, nie chcą na nią dopuścić nikogo, choć miejsca jest dosyć nie na jednego, ale na dziesięciu.

Na ten brak zazdrości, na to oddanie hołdu cudzym zdolnościom przez Pruszkowskiego, mam fakt drobny, ale całkiem wystarczający, aby opowiedziawszy go, wyrzec: co było do dowiedzenia.

W roku 1879 czy 1880, kiedy krakowska wystawa Sztuk pięknych znajdowała się jeszcze w pałacu biskupim, znajdowały się na niej, między innemi, cztery drobne, ale bardzo ładne akwarelki nieznanego całkiem malarza. Niewiele przywięzując do nich wartości, powieszono je gdzieś w kącie, a i autor mało je widocznie cenił, kiedy położył na każdym cenę 20 złr. Pamiętam, jak z Michałem Bałuckim pobiegliśmy zaraz do kancelaryi Towarzystwa, aby mimo chudych kieszeni literackich stać się „mecenasami“ sztuki — na nieszczęście przyszliśmy w chwili, kiedy ktoś wypłacał 80 złr. za wszystkie cztery akwarelle.

Jako ówczesny korespondent „Kłosów“, pisałem właśnie obszerniejsze do tego pisma sprawozdanie z wystawy. Kiedy artykuł był już prawie skończony, odwiedził mnie Pruszkowski. Skorzystałem z tej sposobności i przeczytałem mu korespondencyę, prosząc go o zdanie, uzupełnienia i uwagi. Udzielił mi ich chętnie, ale kiedy z kolei odczytałem bardzo pochlebny ustęp o tych czterech akwarelach, Pruszkowski powiedział, że należy o nich przynajmniej dwa razy tyle napisać, zaznaczyć wyraźnie, iż są największym klejnotem na wystawie i oznajmić lubownikom sztuki ukazanie się nowego wielkiego talentu. W kilka lat później o akwarelach tego samego artysty wszyscy już tak mówili, jak Pruszkowski. Akwaralistą tym był Fałat, nominowany już dziś podobno dyrektorem krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych po Matejce.

Kiedy sprawozdanie, nieopatrzone moim podpisem, było wydrukowane w „Kłosach“, przez parę tygodni artyści o niem tylko mówili i dziwili się, zkąd u licha w Krakowie znalazł się taki prawdziwy znawca sztuki. Gdybym się przyznał do autorstwa, byłbym, dzięki Pruszkowskiemu, stał sie gwiazdą na zachmurzonem nieboskłonie naszej krytyki artystycznej,

Fakt ten, odsłaniając piękną stronę chara-

---

w starożytności szczycili się mianem „jasnowidzących proroków“.

Choć może zadziwi to tego, co czytując dzieło jakieś, zwykł patrzeć na zewnętrzną jego stronę, zamiast wnikać w duszę autora, jednakże bądź co bądź ten Dumas, który napisał: „Dame aux Camélias“, „L'afaire Clémenceau“ itd., jest tym samym Dumasem, który dziś widzi przyszłość przed sobą i ją przepowiada.

Choć może i nas to zadziwi — nas, co wyobrażamy sobie proroków, odzianych w koźle skóry i żyjących hen — w puszczach odległych, jednakże proroctwo pozostanie proroctwem, chociaż nie odbija się o brzegi Jordanu, lecz rozbrzmiewa nad Sekwaną w typografii dziennika „Gaulois.“ Słowa Dumasa są istotnie proroctwem i noszą na sobie wszystkie jego znamiona. Najpierw stoją one w zupełnej sprzeczności z opinią społeczeństwa, — powtóre, mimo tej sprzeczności ludzie, którzy je słyszą, sami nie wiedząc dla czego, zgadzają się na nie — a po trzecie, proroctwo to przyczyni się do urzeczywistnienia tego, co przepowiada. Im silniej ludzie wierzyć będą, iż bez własnej woli, tylko za pomocą jakiejś zewnętrznej, samej z siebie działającej siły dojdą do przeobrażenia i naprawy życia, tem dłużej właśnie nie nadejdzie ta chwila przeobrażenia i naprawy.

Oto błąd główny u Zoli. I na odwrót. Czas przeobrażenia tem wcześniej nadejdzie, im prędzej ludzie uwierzą w prorocze słowa Dumasa, że niebawem zabłyśnie chwila, w której wszyscy bez wyjątku pokochają się wzajemnie i z własnego popędu zmienią sposób życia. To przekonanie właśnie jest główną zaletą listu Dumasa.

Zola pragnie odwrócić ludzi od wszelkiej zmiany, radząc im postępować ciągle na tej samej drodze i podwoić działalność w raz już obranym kierunku. — Dumas przeciwnie. On przepowiadając przemianę uczuć ludzkich, pragnie ich nakłonić, by zmienili życie. Dumas przepowiada, iż ludzie, wypróbowawszy już wszystkie środki, zaczną wreszcie praktykować przykazania miłości bliźniego, iż nadejdzie czas, w którym ogarnie ich formalny szał wzajemnej miłości. Dalej twierdzi Dumas, że dostrzega już między zjawiskami, zapowiadającemi się tak groźnie, pierwsze brzaski wschodzącej jutrzenki miłości — że zbrojne narody nie żywią już względem siebie uczuć nienawistnych, w walce bogatych z nędzarzami nie rozpiera się tryumf zwycięzców — przeciwnie, serca wszystkich napełniają się współczuciem dla pokonanych, zwycięzcy nie święcą tryumfu, lecz go się wstydzą, a wreszcie wytworzyły się środowiska atrakcyjne miłości, które, podobne śnieżnym lawinom, olbrzymieją i póty przyciągać do siebie będą wszelkie istoty żyjące, póki się z niemi nie złączą. Dumas, pragnąc w ten sposób zmienić opinią ludzi zamierza zniszczyć wszelkie zło, które trapi ludzkość całą.

Można nie wierzyć w nadejście tego duchowego przeobrażenia, zapowiedzianego przez Dumasa, można całkiem zaprzeczyć przypuszczeniu, jakoby wszyscy ludzie pokochali się kiedyś nawzajem, lecz zdaniem mojem, nikt temu zaprzeczyć nie może, że w danym razie pozbyłaby się ludzkość swyth przygnębiających i niebezpiecznych cierpień. Bo każdy to przyzna, że gdyby ludzie pełnili te przykazania, które im Chrystus i wszyscy mędrcy świata już przed tysiącem lat pełnić kazali, tj. gdyby każdy drugich miłował na równi z sobą i nie czynił tego innym, czego sobie nie życzy, gdyby każdy przejął się altruizmem, miasto egoizmem, czyli, mówiąc żargonem niektórych uczonych, gdyby życie indywidualistyczne zamieniło się w życie kolektywistyczne — wówczas dni nasze nie byłyby tak nędzne i pełne eierpień — byłyby szczęśliwsze.

Wszyscy zgadzamy się na jedno, że życie wiedzione na sposób pogański, jak obecnie, przyprawi nas o najstraszniejszą nędzę, której i tak blizcy jesteśmy; przewidujemy wszyscy, że im energiczniej spychać będą jedni drugich na dół i wydzierać sobie wzajemnie wytwory własnej pracy, tem większą będzie nienawiść złupionych, którzy pomszczą tak długo znoszony niedostatek i odbiorą z powrotem to, z czego ich ograbiono; wszyscy uznajemy chrześcijańsko-religijne, lub na tej samej chreścijańskiej oparte zasadzie świeckie prawo miłości, nakazujące nam sza-

kteru Pruszkowskiego, jest zarazem dokumentem jego znawstwa i bezstronności. Kto nie stykał się bliżej z artystami, może sądzić, iż każdy z nich jest urodzonym krytykiem sztuki. Sąd to byłby mylny. Najwięksi artyści i poeci nie są często zdolni do właściwej oceny prac cudzych. Wszak dla Mickiewicza największym poetą był Garczyński — wszak Matejce ludzie fachowi i kompetentni radzili oddać się artystycznemu... przemysłowi. Na ten temat możnaby napisać cały artykuł, poparty dowodami, przykładami i anegdotami. Ten brak krytycznego sądu między tymi, co go mieć powinni, lub nim się chwalą, wytwarza często sztuczne wielkości, zalewa dzienniki potokami reklamy, a pozostawia w cieniu tych, co w słońcu stać powinni.

A kiedy mowa o reklamie, to trzeba już skończyć pogadankę o Pruszkowskim, aby nie łączyć ze sobą skrajnych sprzeczności. Pozostawiając na boku sztucznie reklamujące się miernoty, rzadko znaleźć człowieka prawdziwego nawet talentu, któryby choć w minimalnej dozie nie czynił choćby najdrobniejszych starań, aby o jego pracach dobrze mówiono, lub pochlebnie pisano. Każdy krytyk prawie odbiera czulsze uściśnienia ręki, lub przyjemniejsze uśmiechy od tych nawet, którym chodzić o jego zdanie nie powinno. Byle reporter już częścią tych łask się cieszy, aby tylko doniósł w kronice, że „z pracowni artysty X. wyszła wspaniała kompozycya“, lub że „poeta Y. wydaje nowy tomik swych znakomitych utworów“. Na sumieniu Pruszkowskiego nie leży ani cień cienia reklamy; owszem, jeżeli o to idzie, to prawdomównością swoją tylko się naraził heroldom opinji...

Na łamach pism illustrowanych, na wystawach sklepowych i zakładów fotograficznych spotykamy portrety wszelkiego rodzaju znakomitości — ale zdaje się, że nikt nigdy nie widział portretu, albo fotografii Pruszkowskiego. Jest to także szczegół maleńki, ale nie bez znaczenia, kiedy się mówi o reklamie.

Przepraszam — dopuściłem się kłamstwa. Jest jeden portret Pruszkowskiego: miałem go w swych rękach i pokazywałem kilku osobom, zanim doszedł swego miejsca przeznaczenia, w którem utonął i stał się całkiem niewidzialnym.

W r. 1883 artyści-malarze postanowili ofiarować Matejce album, złożone z prac własnych. Rzecz już była ukończoną, wybrano deputacją, mającą dar zanieść Matejce, kiedy otrzymałem z Mnikowa list i pakiecik. W liście były te słowa: „Mam trzyłokciową prośbę..., Nie mogę sam być w Krakowie, więc udaję się do ciebie, abyś na gwałt wynalazł Stykę i prosił go, aby umieścił ten rysunek w albumie dla Matejki. Jeżeli nie ma wolnych kartek, to przynajmniej niech będzie łaskaw, włożyć poprostu między inne. Spóźniłem się, wbrew zwyczajowi mojemu, ale trudno. Bo co tu narysować? W ostatni dzień dopiero nadarzył mi się piękny i inteligentny typ młodzieńca i narysowałem go“... Dalszą, pełną humoru część listu, pomijam. Na załączonym kartoniku był świetnie narysowany ołówkiem portret Pruszkowskiego w czamarce.

Wzmianką o tym portrecie rysowanym kończę portret pisany.

K. Bartoszewicz.

---

cunek dla życia drugich i praw ludzkich; wszystko co wiemy, lecz mimo to urządziliśmy sobie życie tak, iż wszystko, co czynimy, jest wbrew naszym korzyściom, naszemu bezpieczeństwu i przepisom religii, którą wyznajemy. Musi zatem istnieć jakaś ukryta ważna przyczyna, która nie dozwala czynić ludziom tego wszystkiego, co byłoby dla nich korzystnem i chroniłoby ich od niebezpieczeństwa moralnego, które przeszkadza w pełnieniu tego, co za obowiązujące prawo religii i moralności poczytują. Bo czyż na to tylko mówią ludziom przez setki i tysiące lat z kazalnic świeckich i duchownych o miłości bliźniego, aby oszukiwali się wzajemnie?

Czas już najwyższy, aby uznać nareszcie, że miłość bliźniego jest rzeczą korzystną, pożyteczną i dobrą, i biorąc ją za modłę, dojść do zupełnego przeobrażenia życia, lub zyskawszy przeświadczenie, że miłość jest tylko czczą mrzonką, przestać już o niej rozprawiać. Jednakże ludzie nie trzymają się ani pierwszego, ani drugiego — żyją ciągle wbrew przykazaniu miłości, lecz nie przestają go wielbić. Wierzą, że miłość jest rzeczą chwalebną i możliwą, lecz nie mogą jej urzeczywistnić.

Zkąd to pochodzi?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BADANIA NAUKOWE.

Bankructwo wiedzy.

Znamiennym rysem prądów. przejawiających się dzisiaj wśród społeczeństwa francuzkiego. jest artykuł Brunetier'a w „Revue de deux Mondes“, oskarzający wiedzę o bankructwo.

Zdawaćby się mogło, że p. Brunetière, naczelny redaktor Revue i członek akademii francuzkiej raczej w szeregu obrońców niż oskarzycieli wiedzy stawać powinien, i niechybnie posądzilibyśmy go o dezercyą, gdyby akademia, której jest członkiem, jeszcze rzeczywiście wiedzy przybytkiem była, a stateczny miesięcznik, który wydaje, służył w istocie naukowym celom.

Ale czas bieży, a duch? — „flat ubi vult“ i wiedza nietylko, że dawno już wyszła z pod duchownej opieki i rygoru, ale opuściła nawet od dawna oficyalne przybytki, wśród których swojsko czuje się p. Brunetière i senni jego towarzysze, nieśmiertelni swoją sennością.

Nie dziw więc, że p. Brunetière uczuł pustkę i bankructwo krępowanej myśli, majoryzowanej nauki — i moralizowanej literatury, gnieżdżących się w zapylonych murach akademii. Niechybnie ma racyę, że tego rodzaju wiedza zbankrutować, zbankrutowała nieodwołalnie.

Ale p. Brunetière nie tak zrozumiał wycieczkę swoją przeciwko wiedzy, oskarżając ją, że nie zapewniła ludzkości po tyle razy zapowiedzianego szczęścia, że nie dała odpowiedzi na wiecznie żywotne i wiecznie jeszcze ciemne zagadnienia, zkąd pochodzimy, czem jesteśmy, czem jest i zkąd się wzięło to, co nas otacza, ten tajemniczy zewnętrzny świat i to zagadkowe i czujące ja? — Żadnego z wymienionych zagadnień nie rozwiązała wiedza, przeciwnie, w jaśniejszem świetle pokazała nam tylko niemoc swoją.

Jak dawniej otacza nas tajemniczość, wyłania się zewsząd, obejmuje swojemi ramiony i dusi prawie w uścisku, — tajemniczość, której nauki ścisłe rozwiązać nie zdolne, mimo postępu chemii, fizyki. matematyki, mechaniki.

A czyż antropologia, etnografia i lingwistyka dały odpowiedź na to, czem jesteśmy i dokąd dążymy? gdzie początek mowy ludzkiej i społeczeństwa?

I fizyologia i hebraiści i oryentaliści, a nawet i historya zawiodły również. Boć jeżeli chrześciaństwo całe mieści się w systemach filozofów greckich, to dla czego — pyta francuzki uczony — kazanie na górze podbiło świat, gdy tymczasem „traktat“ Epikteta i „myśli“ Marka Aureliusza czcze pozostały i bezpłodne?

Chciano wykreślić cudowność z początkowej historyi Chrystyanizmu, chciano dowieść nam, że biblia jest sobie tylko książką taką samą, jak Iljada, Odysea, rodzajem semickiej Mahabaraty, tymczasem zamiast rozświetlić kwestyę, pogmatwano ją tylko. Czemżeż bowiem jest owo pokrewieństwo Chrystyanizmu z budaizmem w obec głębokich i zasadniczych różnic dzielących obie nauki?

A potem gdzież jest ścisłość historyczna, gdzie pewność w nauce. Bo pominąwszy już takie kwestye, czy królowie starożytnego Rzymu wogóle istnieli, lub czy są tylko postaciami słonecznego mytu, stawić sobie musimy pytanie: Istniejeż niezmienne prawo dziejowego rozwoju, lub nie? Jesteśmy panami naszego przeznaczenia, lub też niewolnikami jakiejś „wyższej siły“? — A na to pytanie nie odpowiedziała historya.

Przeszedłszy tak kolejno wszystkie nauki, ścisłe i nieścisłe, i zmasakrowawszy zarówno filozofię, jak i filologię, fizykę i historyę, p. Brunetière stwierdza bankructwo wiedzy w tym boju ducha, który od przeszło dwóch wieków toczy nauka z religią. Nauka. która zamierzała wyprzeć religią i zająć jej miejsce, przegrała tym razem i nie ma nadziei, by prędko powetowała porażkę.

Społeczeństwo, przynajmniej we Francyi, pod względem umysłowo-etycznym rozpada się dzisiaj na dwa obozy: tych, którzy odziedziczyli religijno-mistyczne pojmowanie zewnętrznego świata i własnego ja, i tych. którzy je zastąpili pojęciem naukowem, stosując dorobek własnego ducha nietylko w dziedzinie ścisłe umysłowej, ale także w etycznej. P. Brunetière więc, reklamujący moralność jako dział obcy wprawdzie pierwotnym pogańskim religiom. ale nierozdzielny z religią w pojęciu chrześciańskiem, wywołał liczne protesty ludzi, oddanych nauce, którzy ani jej bankructwa widzieć, ani się samowiednie etyki wyrzekać, ani wiedzy pod opiekuńcze skrzydła religii poddawać nie chcą.

Charakterystyczną w tym względzie jest zamieszczona w „Revue de Paris“ odpowiedź słynnego chemika Berthelota, mającego wszelkie prawo przemawiać imieniem wiedzy:

Jeżeli mistycyzm na nowo przywłaszcza sobie monopol moralności w imię religijnych zasad, mówi P. M. Berthelot, to zaznaczyć wypada, że moralność nie jest wynikiem religii, ale przeciwnie, religie przywłaszczyły sobie moralność. Mimo to przecież ponawiają one swoje niczem nieuzasadnione reklamacye, głosząc „bankructwo wiedzy“, które przecie jest tylko ostateczną illuzyą osób obcych wiedzy i jej duchowi. Przecież owa wiedza tak długo prześladowana zdobyła sobie dzisiaj niepodległość, jedynie dzięki usługom, które oddała ludzkości, a chociaż dopiero dwa zaledwie minęły wieki. odkąd naukowa metoda od wszelkiej mistycznej się uwolniła przymieszki, jak wielkim pomimo to jest postęp osiągnięty i jakież spłynęły w tym czasie dobrodziejstwa na ludzkość!

Nauka nie ma bynajmniej pretensyi, — iż ostateczne o wszechświecie i jego ustroju wyrzekła słowo, przeciwnie skromnie do nieświadomości swojej się przyznaje i zna jej rozmiary; ale wie z pewnością, że nie ma dwóch źródeł prawdy, jednej objawionej, a drugiej opartej na doświadczeniu i obserwacyi. Wykluczyła ona i wygnała z dziedziny swojej słowa: *tajemnica i cud*, bo wszędy, gdziekolwiek zdołaliśmy dojść do jądra znaleźliśmy, że zawsze były przyczyn i skutków wynikiem. Przeto pozwolić nie możemy, aby nietolerancya mistycznych rojeń zburzyła ów wał ochronny nie do przebycia, który my wznieśliśmy pomiędzy naukową metodą a.... cudem. Wystarczy przypomnieć sobie historyczny rozwój wiedzy, aby zrozumieć całą doniosłość tego, cośmy zdobyli.

Badania nad pierwotnym człowiekiem uczą nas jako rasy ludzkie powoli stworzyły sobie narzędzia, broń, zwyczaje, mocą których człowiek pierwsze swoje po nad przyrodą odniósł zwycięztwo i położył pierwsze podwaliny organizacyi społecznej. Familia, państwo, moralność, cnota wyrastały stopniowo z instynktów towarzyskich, które dziś — jak przed wiekami — u zwierząt zauważyć możemy.

Inteligencya pierwotnego człowieka zbyt była niedostateczną, aby się wznieść do pojmowania oderwanych praw, czy to własnego

swojego rozwoju, czy danych zjawisk, więc uosabiał je, robiąc z nich istoty żywe, stworzone na swoje własne podobieństwo, jednem słowem dusze i bogów. I taką jest i dziś jeszcze ogólna skłonność stwierdzona przez podróżników u dzikich. A i nasze dzieci chętnie przemieniają w nadludzkie istoty i mary swoje uciechy, a w większej jeszcze mierze swe strachy. Jednem słowem obserwacya uczy, że ludzie skłonni są do objektywizowania własnych myśli, by z nich symbole tworzyć i osoby, którym potem szybko przypisują charakter samoistny, absolutny, boski.

Takim to sposobem w zaraniu cywilizacyi przypisywano każdy wynalazek i wszelką powstającą organizacyę boskiemu objawieniu. Najmędrsi i najuczeńsi z ówczesnych ludzi zbudowali panowanie swoje na czczych i przesądnych zapatrywaniach, a kiedy w Memphis i Babylonie wznosiły się świątynie, skupiała się wszelka wiedza w około ołtarzy; te same osobniki, zbrojne świętością swego powołania, wyobrażały naonczas i religię zarazem i wiedzę. Coś podobnego ponowiło się na początku wieków średnich, w skutek zburzenia starożytnej kultury, przez północnych barbarzyńców.

Ztąd ów szczególny charakter onych pierwotnych nauk, jak astrologii i alchemii, w których pozytywne wyniki łączono z magią i w których skutecznośc doświadczalnej praktyki zapewniano sobie używaniem formułek i zaklęć, mających na celu naginanie woli bogów i zapewnienie sobie ich pomocy. Wonczas cud był obowiązkiem bóstwa.

Pierwszymi, którzy prawdziwą wiedzę od owych przymieszek uwolnić zapragnęli, byli filozofowie greccy, to też oskarżono ich zaraz o bezbożność, a oskarżenie to nie przestało odtąd rozbrzmiewać przez dwa tysiące lat. Ale geniusz grecki mimo całej potęgi swojej nie zdobył sobie przecież jasnego pojęcia naukowej metody. Owa metoda została dopiero w XVII i XVII wieku naszej ery odłączoną od „czystej logiki" i utrwaloną, to jest w epoce powstania nauk doświadczalnych: astronomii, mechaniki, chemii, fizyki i historyi naturalnej. Z czasem rozszerzyła się owa metoda i na nauki historyczne i społeczne, w których zastąpiła stary system, będący płodem średniowiecznej teologii. A dodać trzeba, że dopiero za dni naszych została metoda naukowa, mająca na oku pojęcia względne a wykluczająca absolutne, zastósowaną i rozszerzoną do nocyi wszelkiego rodzaju.

Z tego punktu widzenia przedstawia nam się nauka w dwojakiem świetle: Jako pozytywna wiedza, będąca trwałą podwaliną wszelkiej praktyki, tak w materyalnej, jak i moralnej dziedzinie, i jako wiedza idealna, obejmująca nasze nadzieje blizkiej przyszłości, dalekie horyzonty wyobraźni i prawdopodobieństw przyszłych. Łącznikiem pomiędzy niemi pozostaje metoda, bo obserwacya faktów i zjawisk jest źródłem wszelkiej wiedzy.

Jednem słowem wiedza żadnego nie zamyka horyzontu, chociaż nie znaczy to, aby utrzymywać miała, iż zbadała istotę wszechrzeczy. Jeżeli nie cofa się przed rozpatrywaniem problemu ich początku, to przecie nie orzekła nic stanowczego w tej mierze! Ponieważ przekonaliśmy się, że wszystkie nasze pryncypia spoczywają na hypotezach, zapożyczonych z dziedziny obserwacyi faktów, nie działamy nigdy w imię absolutnych pryncypi; kto zaś twierdzi, że się opiera na absolucie nie opiera się na niczem.

Przecież to nie dogmaty religijne ujarzmiły i obróciły na pożytek człowieka siły natury, nie one dały pożytek uczuciom miłości ojczyzny, honoru, zniosły niewolę i tortury, zaprowadziły poszanowanie życia ludzkiego, tolerancyę i wolność między ludźmi. — Więc gdzież tu bankructwo?

Paryż, 27-go lutego 1898.

Zolna.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków, dnia 5. marca.

(Sp. Marjan Baraniecki. Greczyzna w gimnazjach. Pogrzebany projekt pisma dla rzemieślników. „Lisystrata“ przyczyną rozdwojenia się stronnictwa konserwatywnego.

Przed tygodniem zmarł Marjan Baraniecki, profesor matematyki na uniwersytecie Jagiellońskim. Poważny ten uczony, autor bardzo licznych prac fachowych, podręczników, oraz artykułów treści naukowej i pedagogicznej, był dzieckiem Warszawy, w której też zdobył sobie to uznanie, które go wyniosło na stanowisko zwyczajnego profesora naszego uniwersytetu. Urodzony w r. 1848 ukończył byłą szkołę główną ze stopniem magistra nauk fizyczno-matematycznych. W Lipsku otrzymał stopień magistra *bonarum artium* i doktora filozofii, w Moskwie stopień magistra matematyki teoretycznej. Następnie pełnił obowiązki nauczyciela gimnazyalnego i docenta prywatnego matematyki teoretycznej na uniwersytecie warszawskim. W r. 1885 powołano go jednocześnie na profesora uniwersytetu krakowskiego i politechniki we Lwowie. Z ofiarowanych stanowisk przyjął pierwsze. Zaledwie jednak przez lat kilka mógł pełnić swe obowiązki, gdyż nieuleczalna choroba przyprawiła go o utratę wzroku. Pomimo takiego ciosu nie ustawał w pracy i do ostatnich chwil prawie oddawał się ulubionej nauce i przy pomocy swych uczniów pracował nad podręcznikami. Nad grobem jego przemawiał dziekan wydziału filozoficznego Dr. Anatol Lewicki i były uczeń zmarłego prof. Grabowski,

Podczas pobytu w Krakowie wiceprezydenta Rady szkolnej krajowej Dr. Bobrzyńskiego odbyła się konferencya w sprawie nauki języka greckiego w gimnazyach, w której wzięli udział dyrektorowie i profesorowie gimnazyalni, oraz czterech profesorów uniwersytetu. Wśród dyskusyi oświadczono się za ograniczeniem gramatyki greckiej w gimnazyum niższem do form najniezbędniejszych. Utyskiwano nad brakiem dobrego podręcznika do ćwiczeń na klasy niższe, czemu według oświadczenia Dr. Bobrzyńskiego postanowiła zaradzić Rada szkolna, wezwawszy do napisania nowego podręcznika dwóch profesorów gimnazyalnych. Co do sposobu nauczania uznano, iż należy więcej niż dotychczas kłaść wagi na ćwiczenia ustne, które jednak mają być jedynie środkiem do lektury i zrozumienia arcydzieł literatury greckiej w gimnazyum wyższem. Ponieważ sprawa owej nieszczęsnej greczyzny, gwałtem utrzymywanej w brew prądowi ogólnemu, oświadczającemu się przeciw niej, jest kwestyą, że tak powiem, na dobie, przeto wybaczą może czytelnicy, że piszę z Krakowa.... o greczyźnie.

Nie może się pochwalić dodatniemi rezultatami Towarzystwo oświaty ludowej w sprawie wydawnictwa czasopisma dla rzemieślników polskich. Myśl tę podniesiono już przed czterema laty i wówczas widząc jak się zabierano do wprowadzenia jej w czyn, objawiłem zdanie drukiem, że nie wierzę w dodatni rezultat tego projektu, co starałem się uzasadnić brakiem praktyczności ze strony inicyatorów i całkiem złem zrozumieniem, jakiego właściwie pisma potrzeba dla naszych sfer rzemieślniczych. Gniewano się na to i twierdzono że się nie sprawdzą moje horoskopy. Tymczasem po czterech latach przekonano się, iż prawda leżała po mojej stronie. Wydział Towarzystwa zdaje sprawę ze swoich czynności w tym kierunku, ubolewa iż zebrał niecałe 1500 złr. uważa tę sumę za niedostateczną i ogłasza, że postanowił zaniechać podjętej myśli i zwrócić pieniężne składki ofiarodawcom. Kto się zgłosi po odbiór w ciągu miesiąca, tego ofiara przelaną zostanie do funduszu wydawniczego oświaty ludowej. Chyba tem tylko mogą się pocieszać szanowni inicyatorzy i członkowie komitetu oświaty ludowej, że wyręczyli ich poniekąd socyaliści przez wydawnictwo dla sfer robotniczych dwutygodnika *„Naprzód“*, który obecnie wskutek zmiany w ustawie prasowej przemienił się na pismo tygodniowe. Jestto rzeczywiście bardzo ciekawe, a bardzo źle mówiące o energii i ofiarności stronnictwa tak zwanego konserwatywnego, że się dotychczas nie zdobyło na jakiekolwiekbądź pismo codzienne czy tygodniowe, przeznaczone dla klas pracujących. Wszak o tem szeroko mówiono i na wiecu katolickim, ale jak wszystkie uchwały tego wiecu, który był popisem tylko dla kilku osobistości, tak i ta sprawa poszła ad acta.

Sprawa „Lysistraty“ jeszcze nie ustała, owszem jest nawet przyczyną bardzo charakterystycznego rozdwojenia w obozie konserwatywnym. Kiedy całe dziennikarstwo postępowe i umiarkowane wystąpiło przeciw bezczeszczeniu sceny polskiej, wówczas dziennikarstwu konserwatywnemu zdawało się (a raczej wmawiano w publiczność, że mu się zdawało,), iż nie idzie tu o „Lysistratę“, lecz o jednego z feldmarszałków stronnictwa, p. Koźmiana. *„Czas“* zdobył się na *curiosum* nazywając obrońców moralności.... demagogami. W urzędowej *„Gazecie lwowskiej“* pojawił się artykuł sławiący „Lysistratę“ i podpisany literą *E.* a ponieważ w ten sposób podpisuje się od lat 30-tu Dr. Karol Estreicher, który jest historykiem teatru polskiego i długoletnim członkiem komisyi przy teatrze krakowskim, przeto czytająca publiczność przekonaną była, iż Estreicher wystąpił w obronie „Lysistraty“, co, rzecz prosta, obronie tej nadawało powagę i znaczenie. Pokazało się, że była to sztuczka, chęć okłamania publiczności, gdyż artykuł nie wyszedł bynajmniej z pod pióra Estreichera. „Czasowi“ i „Gazecie lwowskiej“ akompaniował „Przegląd lwowski“. I kwestya skandalu teatralnego zaczęła zamieniać się w kwestyę walk zasad i stronnictw. Najzabawniejszem jednak było przyłączenie się do chóru pism konserwatywnych wstrętnej, obrzydliwej i wrogiej nam „Neue Freie Presse“. Organ ten, nie zajmujący się nigdy polską literaturą i sztuką dramatyczną, uchylił głowy przed geniuszem p. Koźmiana i jak reklamował niedawno nędzną jego „Rzecz o roku 1863“, tak teraz nie odmówił reklamy dla „Lysistraty“. Tylko nie wymyślał już na demagogów, bo w „Neue Freie Presse“ byłoby to śmiesznem, lecz na... Jezuitów. Kto zna sprawy zakulisowe, temu z łatwością przyszło zrozumieć, iż wszystkie reklamy dla „Lysistraty“ pisane były na jednem i tem samem biurku. W obozie konserwatywnym wkrótce rozpoczęła się serya nieporozumień. Pierwszą wieść o niej przyniosło pismo humorystyczne „Zagłoba“, w którem korespondent z Krakowa, (snać uczeń pana Koźmiana, bo przejął się na wskroś jego stylem i dowcipem) zawiadamiał, iż jakiś don Basilio gwałtownie intryguje przeciwko „Lysistracie“ i to do tego stopnia, iż wpływał na „Przegląd polski“, organ stańczyków, ażeby. milczał o „Lysistracie“. Ale wyraźny rozłam w obozie konserwatywnym ogłosił światu „Przegląd powszechny“, miesięcznik wydawany przez OO. Jezuitów. Jest w nim artykuł ks. Morawskiego profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, w którym autor potępiwszy „Lysistratę“, nazwawszy ją „wyuzdaną brzydotą“, wystąpił ostro przeciwko dziennikarstwu konserwatywnemu, które *w interesie jednostki wypacza sumienie publiczne.* Może być, pisze ks. M., iż pomiędzy sprawozdawcami dzienników liberalnych byli i tacy, którym sprawiało przyjemność chłostać przeciwnika politycznego, ale to nie zmienia faktu, że potępiające artykuły gazet spotkały się tym razem z werdyktem zmysłu moralnego publiczności. Zrobiło się bardzo źle, wystawiając na scenie „Lysistratę“, bo się sprawiło zgorszenie. Tylko *skokainowanie zmysłu moralnego* może tak wielki błąd wytłomaczyć. Obrona obłędu w prasie konserwatywnej jest nietylko zgorszeniem, ale *wykrzywieniem sumień.* Najgorzej i najniemądrzej byłoby dla partyi konserwatywnej, gdyby ten błąd *jednego* przy-

jęła jawnie czy milcząco. „*Tego jednego wobec opinii kraju już się nie zasłoni*“, a solidaryzowanie się z nim stronnictwa sciągnęłoby na partyę i na jej zasady „głębokie dusz odwrócenie“.

O ile wiem, nie ograniczy się na tem walka w łonie partyi konserwatywnej przeciw p. Koźmianowi, a kto wie czy nie pociągnie wyparcia się z nim wszelkiej, nietylko lysistratowej solidarności.

K. Bartoszewicz.

Odbieramy z prośbą o umieszczenie odezwę następującą:

Szkoła polska w Biały,

Towarzystwo „Szkoły ludowej,“ którego celem jest „wspierać szkołę ludową z językiem wykładowym polskim,“ ma obowiązek zwracać nietylko baczną uwagę na podnoszenie umysłowego poziomu w ludzie i szkólną oświatą rozpraszać mroki panującej ciemnoty, ale równocześnie w miarę sił chronić ludność polską od wynarodowienia i wzmacniać ją w fundamentach tam, gdzie ona przez obce, a wrogie żywioły jest zagrożoną. Tą myślą przewodnią kierując się, Zarząd główny Towarzystwa „Szkoły ludowej“ postanowił przystąpić w bieżącym roku do budowy siedmioklasowej polskiej szkoły wydziałowej w Biały.

Położenie tamecznej polskiej ludności jest nad wyraz smutne i groźne. W Galicyi, w mieście wzrosłem na polskiej ziemi, liczącem do 8000 mieszkańców — wstyd wyznać — tonie pod zalewem germanizmu ludność wobec zupełnego braku polskich zakładów naukowych, zmuszona jest posyłać dziatwę od najmłodszego wieku do szkół niemieckich, wychowywać ją i uczyć w obcym języku. W ten sposób młodzież polska na kresach staje się zupełnie obcą własnemu społeczeństwu, ginie dla narodu, ktorego ideałów, dążeń i potrzeb pojąć ani odczuć jej nie dano. Zgubna germanizacya szerzy niespostrzeżenie a szybko swe zagony na polskiej ziemi; potrzeba ratowania kresowych posterunków od narodowej zagłady staje się z dniem każdym pilniejszą; pomoc energiczna, rychła jest patryotycznym obowiązkiem pierwszorzędnej wagi.

Zarząd główny Towarzystwa „Szkoły ludowej“ poczynił już pierwsze, przedwstępne kroki i przed kilku dniami zakupił w Biały grunt nadający się pod szkołę. Bezzwłocznemu wszakże rozpoczęciu budowy staje na przeszkodzie brak środków, gdyż te fundusze, któremi Towarzystwo „Szkoły ludowej“ obecnie rozporządza, zaledwie w drobnej części przyczynić się mogą do pokrycia kosztów niezbędnych.

Szkoła polska w mieście, przy ktorem oprócz gminnych zakładów niemieckich istnieje i zwraca na siebie uwagę wspaniały, rzec można, gmach szkoły znanego z germanizacyjnych tendencyi „Schulvereinu,“ musi być również budynkiem, choćby skromnym i nie tak wspaniałym, ale porządnym, obszernym, wygodnym, odpowiadającym swemu przeznaczeniu. Koszta budowy, wraz z ceną gruntu wyniosą najmniej 50,000 złr.

Nie mogąc przeto własnemi siłami sprostać tak wielkim ciężarom, zwłaszcza w obecnej chwili, gdy Towarzystwo nasze zajęte jest równocześnie budową dwóch innych szkół w osadach polskich we wschodniej części kraju, zwracamy się do patryotycznego ogółu społeczeństwa z gorącą i usilną prośbą o czynne, skuteczne, ofiarne poparcie podjętej przez nas akcyi. Od tego poparcia zależeć będzie dalszy jej przebieg i rychłe urzeczywistnienie.

Jesteśmy głęboko przekonani, że w tym nowym roku, rozpoczynającym już drugi wiek niewoli narodu, społeczeństwo polskie nie zawiedzie nas w oczekiwaniach, żywimy silną wiarę, że ofiarność polska dla ratowania zagrożonych kresów zaznaczy się obficiej i potężniej niż kiedykolwiek, stwierdzając chlubnie żywotność szczytnego hasła: „Przez uświadomiony lud — do wolności narodu.“

Zarząd główny Towarzystwa „Szkoły ludowej“ w Krakowie.

Z estrady i sceny.

Pan Poseł. *Komedya w 3 aktach p. Abrahamowicza i Kliszewskiego.*

Literackie małżeństwo pp. Abrahamowicza i Ruszkowskiego wydało na świat sporą gromadkę dzieci, którym publiczność i krytyka nie szczędziły buziaków i cukierków. Potomstwo wesołego stadła nie odznaczało się wprawdzie ani potęgą ducha, ani wyjątkowem pięknem formy, ale miało czerwone, tłuste policzki, skakało zręcznie po scenie i rzechotało się na całe gardło, rzucając od czasu do czasu stare, ale dobre dowcipy. Niestety znudziło się literackiem małżeństwu wspólne pożycie, i nagle w sferach teatralnych zaczęto mówić o rozwodzie, któremu podobno ze strony rządu i kościoła żadnych nie stawiano trudności. Zawołali tedy pp. Abrahamowicz i Ruszkowski „Divorcons“, a pierwszy niebawem, zniechęcony przykrościami wdowiego stanu, w powtórne wstąpił śluby z p. Ign. Kliszewskim. W zwykłym terminie z nowego małżeństwa nowe narodziło się dziecię, któremu przy chrzcie dano imię „Pan Poseł“, a rodzice zaprezentowali latorośl swoją w ubiegłą sobotę na poznańskiej scenie.

Z tej pierwszej próbki trudno mi rozstrzygać stanowczo, czy rodzice „Pana Posła“ stanowią dobraną parę, ale porównując utwór świeżej spółki z krotochwilami dawnego stadła trudno się oprzeć wrażeniu pewnego rozczarowania. Pomysł „Pana Posła“ jest niewątpliwie szczęśliwym, bo stanowi obfitą skarbnicę sytuacyi, tryskających humorem, lub owianych tchnieniem lekkiej dramatyczności i satyry. Ta „wydajność“ pomysłu jest nieodzownym warunkiem dobrej sztuki scenicznej; bez niej trzyaktowa komedya jest zawsze rozwodnioną jednoaktówką, bez niej wkrada się na scenę balast wymuszonej „epizodyczności“, obniżającej wartość utworu i rozpraszającej uwagę słuchaczy. „An der Stange bleiben“ — oto recepta, o której przedewszystkiem literaccy dostawcy teatru pamiętać powinni, a pamiętać wtedy jedynie są w stanie, jeżeli pomysł odznacza się urodzajnością, jeżeli z niego naturalnym sposobem wyłania się akcya żywa, fabuła zajmująca i obfitość sytuacyjna.

Oprócz wartości pomysłu zaleca się utwór panów Abrahamowicza i Kliszewskiego plastyką typów, zstępujących wprawdzie w niziny karykatury, ale opartych na pierwowzorach rzeczywistych i modelowanych z wielką pewnością i brawurą. Już sam bohater komedyi — ów szlachcic galicyjski, owładnięty manią wielkości, aspirujący do tytułów hrabiowskich i teki ministeryalnej, rujnujący się finansowo dla mamideł chorobliwej ambicyi, a pozbawiony najelementarniejszych warunków na męża stanu, to postać, mimo farsowego zacięcia, żywa i prawdziwa. Ileż to takich Topolewskich krąży po Galicy, ileż wyciera kąty w ministeryalnych przedpokojach, lub drzemie na poselskich stołkach w wiedeńskim „Reichsracie“. Zresztą nie sięgajmy daleko. I w naszem poczciwem Księstwie typów podobnych nie braknie...

A przecież „Panu Posłowi“ długiego życia na scenie nie wróżę, bo na każdym kroku odczuwam, że cennego pomysłu nie rozprowadził zręczny technik *Ruszkowski*. Cóż po materyale wyborowym, jeżeli ręka niewprawna kieruje budową? Cóż po najlepszym planie struktury, jeżeli nie ma komu przeprowadzić go umiejętnie? Ruszkowski-architekt wycofał się ze spółki, a Kliszewski, — „druga żona“, — architektonicznych zdolności nie zdradza. W „Panu Pośle“ są sceny, porywające humorem, ale w wiązaniach rażą szwy grube, jakieś suwanie bezustanne, jakiś ambaras niesmaczny. Nadto w akcie III nie wyzyskała spółka literacka materyału, — snać po galopie pierwszych dwóch odsłon zbrakło oddechu autorom.

Artyści nasi, mimo przerażającej próżni w teatrze, dokładali wszelkich starań, aby sztukę uratować od zagłady, choć grać wobec pustki lodowej jest dla aktora prawdziwą męczarnią. Premiera, gromadząca w teatrze zaledwie 60 osób wraz z orkiestrą i recenzentami, chluby nie przynosi poznańskiej publiczności; trzyaktowe sztuki nie nęcą u nas; my zapłaciwszy bilet, pragniemy 15 odsłon, — cały „bukiet dramatyczny“.

Zdaje mi się jednak, że ta garstka premierowych bywalców, która w ubiegłą sobotę zgromadziła się w teatralnym przybytku, nie pożałowała wieczoru, bo lubo utwór sam nie zaleca się wybitniejszą wartością, to gra artystów zasługiwała na poklask najszczerszy. Pan *Trapszo*, strojący fizyonomję swoję i całą postawę w dyplomatyczną powagę, był niezrównanym przedstawicielem typu ambitnego głupca o podkładzie dobroduszności, a sekundował mu dzielnie słodziutki mąż-pantofel p. *Jakubowski*. Z przyjemnością zapisuję również prawdziwy tryumf p. p. *Łaskiego* i *Rapackiego* w roli samozwańczego barona i Grzymały. Pierwszy w ostatnich czasach pozbył się na szczęście fałszywych apetytów, które, mówiąc nawiasem, wzbudził w nim pewien „zły duch“ teatru naszego, i przerzuciwszy się z repertuaru bohaterskiego do ról charakterystycznych o podkładzie komicznym; składa coraz piękniejsze dowody wybitnego w tym kierunku uzdolnienia. Winszuję szczerze panu Łaskiemu tego szczęśliwego zwrotu, i przekonany jestem, że dzisiaj sam uznaje słuszność moich dawniejszych lekcyi i lamentów. Pan *Rapacki* w roli Grzymały nie pozostawił nic do życzenia. Z trafną charakterystyką zewnętrzną harmoniowały ruchy i dykcya, a humor artysty był tak szczery i tak dyskretny, że stał się prawdziwą ozdobą sobotniego wieczoru.

Z kobiet występujących w „Panu Pośle“ wyróżniały się grą poprawną panie *Trapszowa* i *Królikowska*. Gra panny *Trzcinskiej* zalecała się — piękną tualetą. *W. R.*

Koncert pianisty Józefa Wieniawskiego

na sali Bazarowej dnia 1 Marca 1895 r.

Artysta grał w Poznaniu ostatni raz przed mniejwięcej 12 laty. W tym czasie usłyszeliśmy z estrady koncertowej nowsze siły muzyczne; z naszych pianistów wymienię tu tylko Paderewskiego i Śliwińskiego, z obcych zaś d'Alberta, Rosenthala i innych. W obec tych potentatów gry fortepianowej zajmuje dziś koncertant, mimo wielkiego artyzmu, pod niejednym względem stanowisko niższe. Wątpię nawet, czy p. W. kiedykolwiek jako wykonawca utworów klasycznych dorównywał np. d'Albertowi, czy posiadał fenomenalną technikę Rosenthala lub melodyjne uderzenie Śliwińskiego. Jako kompozytor napisał artysta i wydał wprawdzie kilkadziesiąt utworów, ale z tych zaledwie kilka mniejszych kompozycyi spotkać można od czasu do czasu na programach pianistów i kilka utworów utrzymało się tylko w repertuarze bieglejszych amatorów. Rozgłos swój wielki zawdzięcza artysta niezawodnie w pierwszej linji swemu bądź co bądź wybitnemu talentowi, choć w znacznej części

także urokowi, jakim nazwisko to starszy brat, sławny na świat cały skrzypek Henryk Wieniawski, opromienił. Sława pianisty datuje się od występów wspólnych z genialnym skrzypkiem, w których to koncertach — pianista na drugim stał planie.

Program piątkowego koncertu był bardzo urozmaicony, a rozpoczął się sonatą Bethowena d-moll op. 31 nr. 2. Mimo ślicznie wykonanych szczegółów, do których np. zaliczę Reccitativo con expressione I-ej części i prawie cały drugi ustęp „Adagio“, z głębokiem uczuciem odegrany, całość, nie wykazująca najmniejszych usterek technicznych pod względem stylu, dla braku jednolitości w przeprowadzeniu przewodniej myśli, nie zadowolniła znawców. Ostatni ustęp sonaty — Allegretto — i jako kompozycya najsłabszy, zagrany w zbyt przyspieszonem tempie, robił wprost wrażenie etiudy. Nie lepiej wypadły także Haendla waryacye ze suity d-moll, w ktorym utworze przebija się stary, zdrowy humor przybrany w kontrapunktyczne szaty. Odnaleźć ten jowialny, pogodny ton starego mistrza i oddać bez wszelkiej archeologicznej pedanteryi, to nie łatwe dla spółczesnych artystów zadanie. Chopina muza była reprezentowaną 4 utworami, mianowicie rzadko grywanem Impromptu Fis-dur op. 36, wspaniałą etiudę c-moll op. 25 nr. 12, cudnym nokturnem G-dur op. 37 nr. 2 i Scherzo cis-moll op. 39. Ostatni utwór wraz z etiudą c-moll najlepiej przypadł mi do gustu. Obie kompozycye obok własnych utworów koncertanta stanowiły kulminacyjny punkt całego popisu. Z Polonezów Moniuszki zainteresował mnie drugi des-dur więcej. Brak kontrastów i monotonny nieco akomponiament pierwszego polonezu nie zalecają tej kompozyi zdaniem mojem do koncertowego popisu. Za to utwory koncertanta: Mazurka-Reverie i wspaniałym tematem rozpoczynający się Polonez tryumfalny, jakkolwiek nie odznaczają się wielką oryginalnością, są jednak nadzwyczaj efektowne i wdzięcznie napisane, a wykonane z wielką brawurą i szczerem ciepłem olśniły na prawdę słuchaczy.

Na zakończenie wykonał artysta trochę zimno Parafrazę z Lohegrina Wagnera w opracowaniu Liszta i hiszpańską Rapsodyę Liszta. Ostatniego utworu mimo interesującego miejscami zużytkowania starego tańca narodowego „la Folia“, nie zaliczę do wybitnych kompozycyi wielkiego pianisty. W grze można było zauważyć nadto pewne znużenie i brak wyrazistego rytmu i ognia, co się również do podniesienia wartości utworu nie przyczyniło.

Edwin Jahnke.

NA WYŁOMIE.

(*Proces tarnopolski.*)

Marudziłem już tylokrotnie o dziwolągach poznańskich, że pozwolicie gawędziarzowi wyjątkowo przejechać się do — Tarnopola.

Na biurku mojem spoczywają olbrzymie arkusze zadrukowanego papieru, a na czele tłustemi czcionkami widnieją napisy: „Proces Tarnopolski.“ „Młodzież przed sądem“ i. t. p. W prasie poznańskiej zaległo głuche milczenie. Nikt nie wspomina o głośnej rozprawie, lubo z ust prokuratora i świadków płyną interesujące powieści o komersie w szkole Staszyca i wielkopolskiej młodzieży, odwiedzającej wystawę. Lecz jak widzę, zaczynam od końca, a wy, przyzwyczajeni do pruskiej systematyczności, pragniecie wiedzieć początek.

Słuchajcie zatem! Było sobie w Tarnopolu grono młodych entuzyastów, uczęszczających bądź to do gimnazyum, bądź też do seminaryum nauczycielskiego. Serca paliły się wielkim płomieniem miłości ludu i ojczyzny, fantazya snuła barwne marzenia o Polsce wolnej i demokratycznej, dusza upojona hasłami postępu wołała: „Światła i chleba dla wydziedziczonych!“ Garstka młodych zapaleńców skupiała się tedy po za murami szkolnemi, czytała wspólnie ustępy z historyi i literatury polskiej, abonowała za oszczędzone obole pismo akademickie „Życie“, zaglądała też do socyalistycznych organów i broszurek, a nie wyćwiczona w gimnastyce dyplomacyi, rzucała nieraz głośno i otwarcie fajerwerki patryotyczne. Krzykliwego patryotyzmu i demokracyi głośnej rząd austryacki nie lubi, — ale któż z nas w 18-tym roku życia umiał milczeć, gdy „Lud i ojczyzna“ upajały nam dusze i skrzydła przypinały sokole. Młodzież tarnopolska marzyła tedy o tem wszystkiem, o czem każdy duch gorętszy roi w prymanerskich latach, a ponieważ student-polityk jest przedewszystkiem romantykiem, więc lubowano się w tajemniczości, założono podobno kółko zamknięte, rozszerzano jakieś odczyty „ostro-patryotyczne“ i zaprowadzono nawet statuty, które według aktu oskarżenia zalecały „dążenia do odbudowania Polski.“ I byłoby wszystko w porządku, gdyby... gdyby nie ksiądz *Librewski*, przełożony seminaryum nauczycielskiego.

Wśród młodych społeczników znajdował się niejaki *Rzepa*, który odznaczał się wielką pobożnością, a spowiedź pojmował na wzór chłopaka wiejskiego, który przy konfesyonale opowiada szeptem, gdzie trznadel gniazdo sobie usłał. Ukląkł pobożny „konspirator“ i wśród długiej litanii grzechów wymienił udział swój w „tajnem stowarzyszeniu“, scharakteryzował jego działalność i wyśpiewał nazwiska członków. Ks. Librewski słuchał ciekawie tak interesujących zwierzeń i zatrwożony do śpiku kości o byt państwa austryackiego, „rozkazał Rzepie powtórzyć spowiedź po za konfesyonałem.“ Penitent biedny zdecydował się usłuchać kapłana, ale żądał od niego słowa honoru, że z informacyi użytku nie zrobi. „Ks. Librewski dał słowo, ale nie dał honoru.“

W ten sposób istnienie tajnego kółka doszło do wiadomości władz szkolnych i policyjnych. Zarządzono śledztwo, odbyto rewizye i odkrywszy szczątki statutów, broszury demokratyczne, jakieś programy narodowo-postępowe i t. p., okropne okropności powołano 26 młodzików na ławę oskarżonych przed sąd przysięgłych. Lotem błyskawicy wieść sensacyjna obiegła prasę europejską. Niemieckie dzienniki opowiadały straszliwe historye o polskich anarchistach; czeskie czasopisma śpiewały ponurym głosem o galicyjskiej „Irredenčie“, a prokurator smarował akt oskarżenia na 72 stronnicach. Gwałtu! ratujcie! Austrya na wulkanie.

Gdyby istotnie tenor oskarżenia był właściwą sygnaturą winowajców, możnaby mniemać, że szkoły Tarnopolskie były siedliskiem zgrai Ravacholów. Dwunastu gimnazyastom i seminarzystom zarzuca prokurator „zdradę stanu“, twierdząc, „że w latach 1892, 1893 i 94 złączywszy się z innymi w związek tajny, mający na celu — za pomocą opozycyi, dyskredytowania i ośmieszania rządu, pobudzania do oporu przeciw temuż, nie wyrzekając się zbrojnego powstania — odzyskanie dla narodu polskiego niepodległości bytu państwowego, przedsięwzięli działanie, skierowane na oderwanie Galicyi od jednolitego związku państwowego cesarstwa austryackiego.“

Inni znów zasiedli na ławie oskarżonych pod zarzutem obrazy majestatu i zakłócenia spokoju publicznego, a prokurator z naciskiem odwołuje się na ów słynny komers w szkole Staszyca, urządzony na cześć poznańskiej młodzieży. Tam część podsądnych „starała się rozbudzić nienawiść przeciw osobie cesarza i przeciw administracyi państwowej“, — tam do tego stopnia oburzyła i zaniepokoiła uczestników komersu, że **„młodzi Poznańczycy rzewnie płakali.“**

Nie! ci Poznańczycy, lejący łzy oburzenia nad mowami kilku egzaltowanych patryotów, to musiało być istotnie czarujące zjawisko!

Być może, że te łzy właśnie tak rozczuliły prokuratora, że garść młodych, nierozważnych entuzyastów przedstawił sędziom jako bandę zbrodniarzy, czyhających na zagładę tronu i całej monarchii. Zdaje się jednak, że proces Tarnopolski zakończy się świetną rehabilitacyą młodzieży, a kompromitacyą tych, którzy w każdym frazesie gorętszym wietrzą rewolucyą, w każdym krzewicielu oświaty ludowej — socyalistę. Z zeznań świadków, i oskarżonych wyłania się ta groźna „zdrada stanu, obraza majestatu i zakłócenie spokoju publicznego“ w zabarwieniu dziwnem — coś niby zabawka polityczna, niby bukiet romantycznych kwiatków, niby junaeka brawura.

Ale cała ta kolizya z prawem, która młodzież tarnopolską zawiodła na ławę oskarżonych, wyrasta na gruncie wielkiej miłości ojczyzny, niezmordowanej pracy dla społeczeństwa i poświęcenia dla ideałów swoich. Zapaleni doktrynerzy w chwilach wolnych od nauki szkolnej nie szukają bilardów i pensyonarek, lecz wsłuchują się uważnie w gwary społecznego życia, niosą między lud kagańce oświaty i pochodnie patryotyzmu, marzą, kochają i nienawidzą. Że z takiego podkładu wyrosły dziecinne wybryki, że tam ktoś w towarzystwie kolegów wygrażał portretowi cesarza, lub w krasomówczym zapale na wielkiem święcie młodzieży krytykował orgje lojalizmu i demoralizacyę rządową, to w rubryce Donkiszoteryi chłopięcych nadzwyczajnością nie jest bynajmniej, a cały ten aparat sędziów przysięgłych z prokuratorem, sześciu adwokatatami, prezydentem, całym legjonem świadków, robi istotnie wrażenie polowania na wróble armatami. Statuty słynne z programem niepodległej Polski, ukute rzekomo przez garść gimnazistów, — straszne praktyki rewolucyjne, polegające na teoretycznych dyskusyach, czytaniu pism postępowych i samokształceniu w historyi i literaturze ojczystej — to chyba tylko prokurator austryacki lub rosyjski żandarm piętnować może jako zdradę stanu. „Lieb Vaterland magst ruhig sein“.

Młode głowy szalone, młode serca zapalne i zabawa w politycznego — palanta! Mój Boże! ileż to wspomnień ciśnie się do głowy. Spytajcie starszej generacyi poznańskiej i niechaj wam opowie dzieje dawnej polityki gimnazyalnej, tych czerwonych demokratów, tych rewolucyonistów, „petrolejarzy“, komunistów itd. Ileż to herezyi wygadywano na zebraniach, posiedzeniach i kółkach, — ot! zwyczajnie młodość szumiała jak szlachetny szampan. W Austryi szum taki zwie się „zdradą stanu“, a ksiądz Librowski ratuje zagrożoną ojczyznę.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

J. S. Zubrzycki. Rozwój gotycyzmu w Polsoe pod względem konstrukcyjnym i estetycznym. Kraków, nakładem autora 1895, 8-o., str. 39 z 3 tablicami.

Książka z dziedziny architektury to osobliwość w piśmiennictwie naszem, gdyż nawet z takiego ogniska wiedzy technicznej, jak Lwów, nie wiele się rozchodzi corocznie na świat. Obydwa techniczne czasopisma galicyjskie, wychodzące jako organa odnośnych towarzystw w Lwowie i Krakowie, nie dają należytego i żadnego pojęcia ani o ruchu wielkim, jaki w Galicyi pomiędzy architektami i inżynierami panuje, ani o dziełach znakomitych, przez nich dość często wykonywanych, jakie z okoliczności wystawy lwowskiej we większych miastach galicyjskich poznać mieliśmy sposobność. Z tem większem zaciekawieniem przeczytaliśmy tę publikacyę.

Autor, architekt cywilny i dotychczasowy inspektor budownictwa miejskiego w Krakowie, znany z wzorowo wykonanych i przygotowanych do druku zdjęć budynków dawnych miasta Krakowa, publikował już zeszłego roku

samodzielnie obmyślone dzieło p. t. „Filozofia architektury“, które z powodu zbyt zawiłych definicyi i nie zbyt jasnych wywodów przez krytykę zawodową nieprzychylnie zostało przyjęte. Rzecz obecną wygłosił jako wykład habilitacyjny w c. k. szkolę politechnicznej we Lwowie, do której został już zaproponowany na docenta historyi architektury. W wykładzie jasnym i potoczystym daje autor dobre zestawienie znanych po części rzeczy, objaśniając je wszakże trafnemi poglądami własnemi; zwraca bardzo słusznie szczególniejszą uwagę na właściwości naszego gotyzmu, na motywa swojskie, stojące w ścisłym związku z wielkiem zamiłowaniem przodków naszych do drzewa i ozdobnej ciesiołki; daje pogląd, dla czego u nas styl gotycki rozwinął się dopiero na końcu XIII wieku, t. j. o wiek cały później jak w innych krajach i utrzymując się przez wiek jeden w stanie kwitnącym, „zużył się prędko jako styl wybujały, znikając równocześnie pod blaskiem renesansu.“

Twierdzeń postawionych dowodzi autor najwięcej na znanych mu zblizka zabytkach budownictwa krakowskiego, objaśniając je dokładnemi zdjęciami 4 różnych filarów z naw głównych kościołów krakowskich, — ale nie pomija też najbliższego naszej dzielnicy odcienia ostrołukowego, nazywanego bądź krzyżackim, bądź wiślano-bałtyckim, polegającego na rozległem zastosowaniu do budowy wyrobów ceglanych. Autor windykuje dla tego odcienia z powodu różnych właściwości swojskich i rodzinnych miano odcienia nadwiślanskiego; zdaniem jego „punkt ciężkości ostrołuku nad Wisłą przypada na Kraków.“ Koniec wykładu poświęca autor głównie szkole krakowskiej i jej właściwościom, wykazując na nich wpływ Pragi i Norymbergii. Nie tu miejsce do zapuszczania się w zadaleko sięgające szczegóły starannie i ze znajomością rzeczy opracowanej a gładkim stylem napisanej broszury. Odsyłamy do niej ciekawych i żądnych zapoznania się z właściwościami naszych zabytków przeszłości w tem przekonaniu, iż czasu poświęconego na jej przeczytanie nie pożałują. *J. R.*

* * *

Jan Kazimierz Zieliński. — „Szkice“ — (Anima. — W Japonii. — Eden. — Na konkurs. — Tenor. — Numer 13.) — Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1895.

Jest to wiązanka drobnych obrazków i nowelli, kreślonych z niezaprzeczonym talentem i wprawą pisarską, językiem czystym, stylem dobrym, a niekiedy nawet wytwornym. Zbiór rozpoczyna się obrazkiem „Anima“, pełnym wdzięku. Zaraz potem spotykamy się ze szkicem „W Japonii“, zgrabnie ujętym w egzotyczną formę i świeżym w pomyśle. Trzeci, noszący nazwę „Eden“, jest historyą pogoni młodego człowieka ze szczęściem i rozkoszą. Nie znajduje ich bohater opowiadania, ani w uciechach zmysłowych, ani w sztuce, lecz w poczuciu i spełnieniu obowiązków społecznych. Po tej poważnej nucie, autor w monologu „Na konkurs“ nastraja się na ton satyryczny, aby znowu w następnej nowelli, „Tenor“, przejść do dźwięków smutnych. Szczęściem, zajmująca książka kończy się wybuchem szczerej wesołości, zatytułowanej „Numer 13“. Ograny temat, w nowem opracowaniu i istotnie zabawnej formie, przedstawia się świeżo, zajmująco, ujmująco. Słowem całość zbioru liczyć może na szerokie koła życzliwie dla młodego autora usposobionych czytelników.

* * *

„Kwartalnik historyczny“. Zeszyt I. 1895. Omawiany zeszyt „Kwartalnika“ rozpoczyna praca p. Iwana Franki p. t. „Z dziejów synodu brzeskiego 1596 r.“, synodu, który sankcjonował unję jednej części duchowieństwa ruskiego z Rzymem. „Zawarta — pisze autor — z pobudek daleko bardziej politycznych i administracyjno - dyscyplinarnych, niż dogmatyczno religijnych, unja brzeska wniosła odrazu ogromny ferment w łono narodu ruskiego, spowodowała chwilowe wrzenie, ożywienie, ruch umysłowy, żwawe dysputy, wywołała z jednej i drugiej strony gorący zelotyzm i spłodziła nadzwyczaj zajmującą literaturę polemiczną, lecz w rezultacie osłabiła Ruś, zdemoralizowała ją przez nienawiść braci ku braciom, przez wzajemną nieufność i nietolerancję i była jednym z powodów wojen kozackich, ktore przyniosły dla ukrainy ruinę, a dla Polski zaród upadku politycznego. Ale znaczenie i wpływ unji brzeskiej nie skończyły się z upadkiem Polski. Przeciwnie, od końca XVIII. wieku, w tej części Rusi, która przeszła pod berło Rosyi, zaczyna się prawdziwa tragedya unii, z niezliczonemi epizodami, pełnemi łez i krwi, tragedya, dotychczas jeszcze nie ukończona“.

Zaznaczając, że zbliżająca się trzechsetna rocznica tej unii powinnaby dać pohop do gruntownego opracowania jej dziejów, co musiałoby zostać poprzedzone krytycznem opracowaniem odnośnych źródeł, autor przedsięwziął w omawianym artykule jedną z takich prac przedwstępnych, a mianowicie poddaje rozbiorowi krytycznemu dziełko p. t. „Perestroha ziło potrebnaja na potomnyje czasy prawosławnym chrestianam“.

P. Prochaska zdaje sprawę w obszernym artykule z pracy rosyjskiego historyka Linniczenki, dotyczącej wewnętrznych stosunków Rusi w XV. w.

Resztę zeszytu wypełniają miscellanea i zwykłe działy sprawozdawcze, a w nich podnieść należy odprawę, daną przez E. Porębowicza pracy M. Kawczyńskiego o trzeciej części „Dziadów“ Mickiewicza i jej stosunku do romantyzmu francuskiego, uwydatniającej wyraźnie krakowsko-policyjne kryteryum krytyczne Kawczyńskiego.

* * *

Ignacy Prądzyński. Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej 1831 r. Kraków, nakładem Grendyszyńskiego. 1894, str. 289.

Pamiętnik ten został napisany na żądanie cara Mikołaja. Autor przystąpił do napisania jego zaraz po wojnie, opierając się na własnej pamięci i korzystając z materyałów dostarczonych mu w Petersburgu. Ukończył swą pracę w Gatczynie w sierpniu 1832. Rękopis znajduje się w archiwum wojenno-uczonej komisyi głównego sztabu w Petersburgu. Korzystał z niego naprzód Schmidt, a potem generał Puzyrewski w swojej historyi wojny 1831 roku, który też wydał go w całości w drugim tomie swego dzieła. Prądzyński był uważany zawsze za jednego z najwięcej wykształconych i najwięcej utalentowanych dowódzców. Obcy historycy wojny Willisen i Schmidt stawiają go pod względem zdolności na czele wszystkich ówczesnych generałów. Puzyrewski przyznaje mu umysł twórczy, oraz świetność i smiałość często genialnych kombinacyj strategicznych. To samo już uzasadniało potrzebę wydania jego pamiętnika. Prądzyński ogranicza się głównie do zdania sprawy z wypadków, w których albo sam przyjmował udział, albo o których był powiadomiony mniej więcej dokladnie. O wypadkach poprzedzających rewolucyę prawie nie wspomina: podczas wybuchu znajdował się w Augustowie. Pamiętnik zawiera przedewszystkiem dużo faktycznego materyału o ruchach strategicznych obu armii. Szczegółowo też opisuje Prądzyński ostatnie chwile wypadków a mianowicie układy tyczące się poddania Warszawy. Naturalnie historyk nie może się zgodzić ze wszystkiemi wywodami i zapatrywaniami autora, który jako współdziałający w wypadkach nie mógł wznieść sie na stanowisko całkiem bezstronne a pisząc pod świeżem wrażeniem i oparty na niedostatecznym materyale, nie znał wiele przyczyn i wiele szczegółów później dopiero wyjaśnionych. W każdym razie pamiętnik pozostanie jednem z najważniejszych źródeł do dziejów 1831 r.

K. Bart.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Wiadomości społeczne i polityczne.** Poseł nasz k s. p r a ł a t d r. J a ż d z e w s k i zwrócił w komisyi budżetowej uwagę sekretarza spraw zagranicznych na potrzebę ułatwień w stosunkach granicznych pomiędzy Królestwem polskiem a wschodniemi prowincyami pruskiemi. Sekretarz na propozycyę posła naszego odpowiedział przychylnie. — O ile wnioskować można z repliki ministra robót publicznych na interpelacyę posła Jaeckela w sprawie ogroblenia Warty, to żaden z przedłożonych projektów nie uzyskał aprobaty rządowej. — Naczelny prezes Prus Wschodnich, hr. Stolberg podał się do dymisyi. Dymisyonowany dygnitarz ściągnął podobno na siebie gniew monarszy w skutek sympatyi okazywanych frondującemu „związkowi rolników“.

Statystyka samobójstw w Wiedniu wykazuje, że w r. 1892 było samobójstw 330, w r. 1893 356, a w ubiegłym roku 389, i to: powiesiło się 107 mężczyzn a 17 kobiet, palną bronią zadało sobie śmierć 84 mężczyzn i 8 kobiet, utopiło się 55 m. i 22 k., otruło się 21 m. i 28 k, 10 m. i 16 k. zginęło rzucając się z wysokości, poderżnęło się 8 m. i 2 k., 2 rzuciło się pod koła lokomotywy. Najstarszy samobójca liczył 83, najmłodszy 9 lat, inni 13 i 13 i pół. Przyczyną samobójstw była najczęściej słabość, złe stosunki majątkowe, brak pracy, nędza, obłęd, zawiedziona miłość. obraza honoru. Uderzającą jest także ta okoliczność, że w pierwszych miesiącach roku więcej było samobójstw jak w ostatnich.

— **Teatr i muzyka**. W ubiegły czwartek wystawiono w teatrze poznańskim na benefis p. Królikowskiego sceniczną przeróbkę powieści Balzaka p. t. „Macocha“. Beneficyantowi ofiarowała licznie zgromadzona publiczność piękny wieniec, darząc go nadto grzmiącemi oklaskami za grę prawdziwie artystyczną. — W poniedziałek 11 marca odbędzie się na sali hotelu berlińskiego wieczór humorystyczny pana Kicińskiego. Biletów nabyć można w cukierni p. Hyżewicza. — Pani Adolfina Zimajer urządza 18 bm. na sali Bazarowej koncert z współudziałem p. A. Zawadzkiego, znanego monologisty. Przedtem wystąpi słynna artystka wraz z partnerem swoim w Gnieźnie. — W Poznaniu gości obecnie Budapeszteński „Possen Theater“. Teatr ten posiada kilku znakomitych komików. — Konkurs dramatyczny, ogłoszony przez wydział galicyjski, rozstrzygnięto obecnie we Lwowie. Pierwszą nagrodę otrzymał p. Michał Wołowski za 3 aktową komedyą p. t. „Towarzysz pancerny“; drugą słuchacz uniwersytetu krakowskiego p. Wacław Sawiczewski za dramat p. t. „Na bezdrożach“. Do grania zalecono sztukę Henryka Piątkowskiego p. t. „Nowi ludzie“, 5 aktowy dramat Wandy Dalewskiej p. t. „Las“, dramat Bronisława Grabowskiego p. t. Jadwiga Tarłówna“, oraz fantazyą Jana Szarskiego (pseudonim) p t „Uśpiona“. — Powieść Sienkiewicza p. t. „Hania“ przerobił na utwór dramatyczny artysta warszawski p. Józef Mikulski. — Łotyskiej literaturze dramatycznej przysporzyła utalentowana autorka „Aspazya“ dwa nowe utwory p. t. „Utracone prawo“ i „Wajdelota“. — Artysta warszawski, Mieczysław Frenkel bawił na gościnnych występach w Łodzi. — Komedya Kościelskiego „Na klęczkach“ ujrzy niebawem światło kinkietów w teatrze krakowskim.

— **Znany literat poznański** p. K a ź m i e r z P u f f k e wygłosi niebawem na sali hotelu Victoria odczyt „O kobiecie w dramacie współczesnym“.

Zmarli:

Ks. Konstanty Damroth, znany pod pseudonimem Czesława Lubińskiego, zmarł w Pilchowicach 5 marca.

Dr. Franciszek Lauth, egiptolog, zm. w Monachium w końcu lutego.

Odpowiedzi Redakcyi.

St. Do najlepszych dzieł mitologicznych w literaturze niemieckiej należą: 1) H. Göll. Illustrirte Mythologie, Göttersagen und Kultusformen der Hellenen, Römer, Aegypter, Inder, Perser und Germanen. 5. Aufl. Verlag O. Spahn. Leipzig. Cena 5 mr. 2) Fr. Kurts. Allgemeine Mythologie. 2. Auflage. Verlag Weigel Nachf. Leipzig. Cena 8 mr.

99. „Marzenie“ poszło marzyć do kosza.

Sprostowanie

Do nr. 9 wkradła się omyłka następująca: W artykule p. t H e n r y k R o c h e f o r t na stronnicy 100, w łamie 2, wierszu 18 od dołu czytać należy zamiast „walki“ — „u w a g i“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.